GAZETA
LEŚNA i MYŚLIWSKA

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
DLA WŁAŚCICIELI LASÓW, LEŚNICZYCH, MYŚLIWYCH i MIŁOŚNIKÓW PRZYRODY

Redakcja i Administracja: Nowy Zjazd 7. Telefon 248-82. — Wydawca i kierownik literacki Gustaw Buseck-Busecki.

№ 17. WARSZAWA, ∞ 1 Września 1913 r. Rok II.

Prof. Dr. Schwappach.

Pielęgnowanie drzewostanów sosnowych na słabych siedliskach.

(Dokończenie).

Po całym szeregu dalszych, a uwieńczonych dobrym rezultatem prób, urządziłem systematyczne już doświadczenie w roku 1912 i 1913 na rewirach haliznowych w Kommusinie (obwód rejencyjny Olsztyn) Gildon, Łasku, Czersku i w Eisenbrück (ob. rej. Kwidzyń)

Chcąc stwierdzić wpływ pokrywania gruntu odpadkami gałęzi na wilgotność tego gruntu, zarządziłem następnie w zimie w 1911 do 1912 r. szereg prób w dwudziestoletnim drzewostanie lasu miejskiego w Eberswalde, który posiada trzy podglebia: na podglebiu 1 po silnej trzebieży pozostawiłem ścięte drzewo, o ile było cieńsze od 4 cm, na ziemi; na podglebiu 2 postąpiłem tak samo, ale usunąłem gałęzie; podglebie 3 pozostawiono nieporuszone.

Profesor dr. Albert podjął się łaskawie oznaczenia ilości wód i rezultaty swojej pracy za r. 1912 użyczył mi do opublikowania.

Lato 1912-go roku nie było do tego rodzaju prób podatne ze względu na obfitość deszczu, wobec czego też zaniechano w wrześniu oznaczania ilości wody. Do tego jednak czasu wypośrodkowano cyfry, które podajemy na osobnej tablicy.

Jak widzimy, najniekorzystniej przedstawiały się warunki pod względem wilgotności na nieporuszonem polu doświadczalnem. Zawartość wody bez porównania była wyższa w górnych warstwach pola pokrytego gałęziami, które to pole mogło najlepiej wykorzystać w tak krótkim czasie wpływ powłoki gałęziowej. W głębszych warstwach małe zapotrzebowanie wody, z powodu zmniejszonej ilości pni zaznaczyło się równomiernie na pokrytej i niepokrytej przestrzeni, w sierpniu i wrześniu jednak zawartość wilgoci na głębszych warstwach była większa na przestrzeni pokrytej, aniżeli na przestrzeni nie pokrytej. Dopiero dalsze prowadzenie spostrzeżeń da podstawę do stanowczej oceny wpływu pokrycia gałęziowego na zawartość wody w gruncie i na przyrost drzewostanu.

Miesiąc 1912		Zawartość wody w procentach wagi. Przetrzebione gałęziami.	Przetrzebione bez gałęzi	Nieporuszone
Maj	a	10,22	9,34	8,69
	b	6,67	6,82	8,05
Czerwiec . .	a	9,63	8,31	7,29
	b	7,14	8,72	7,09
Lipiec . . .	a	5,24	3,26	3,86
	b	3,51	3,69	2,97
Sierpień . .	a	8,83	5,60	4,16
	b	5,05	4,39	3,22
Wrzesień. .	a	11,79	10,58	8,43
	b	6,34	5,77	4,63
Cyfra przeciętna wszelkich oznaczeń wody od 30/V do 13/IX.	a	8,68	5,77	5,65
	b	5,36	5,37	4,45

Jako argumenty, mające świadczyć przeciw tego rodzaju postępowaniu, przytaczane bywają zazwyczaj: niebezpieczeństwo wtargnięcia owadów, możliwość wybuchnięcia ognia i ograniczenie wartości użytkowej w ten sposób wyhodowanego drzewostanu. Na mocy swoich własnych, a już przez cały szereg lat podejmowanych doświadczeń zniewolony jestem zaprzeczyć tego rodzaju twierdzeniom.

Te słabe gałązki, które podług mnie powinny pozostać w lesie, wysychają tak prędko, że niebezpieczne korniki już się w nich nie rozwijają. Wogóle podczas całego trwania obserwacji raz tylko na chróście pojawiły się w większej ilości *Magdalis violaceus*, większej jednak szkody nie zrobiły.

Obawa wybuchnięcia pożaru zachodzi tylko podczas krótkiego okresu, a mianowicie wtedy, gdy zaraz po dokonaniu trzebieży nadejdzie długotrwała susza i upały. Po kilku miesiącach jest chróst na powierzchni przegnity i po odpadnięciu igieł zawiera tyle wody, że, jak to wykazały specjalne próby, trudno tego rodzaju gałęzie wogóle zapalić.

Ażeby jednak uniknąć niebezpieczeństwa pożaru, zaleca się trzebieże wykonywać jesienią i na początku zimy, aż do nadejścia suszy, w lecie bowiem gałęzie tak się już rozłożą, że nie będzie zachodziła obawa pożaru. Następnie trzeba chróst z dróg i ścieżek, jak również w pobliżu torów kolejowych usunąć na pas najmniej 10 m. szeroki. Zapewne, że są okolice w pobliżu miast i innych miejscowości, gdzie trzeba się poważnie zastanowić nad tem, czy chróst można tu pozostawić; tyle jednak pozostaje otwartych przestrzeni, domagających się tego rodzaju pielęgnowania, że można tam chróst bez poważnej obawy pozostawić na miejscu.

Co się tyczy zmniejszenia wartości użytkowej drzewa, to twierdzę, że w ten sposób potraktowane drzewostany więcej i cenniejszego dostarczą drzewa użytkowego, aniżeli te drzewostany, które pozostawione są jak dotąd własnemu ich losowi.

Jeżeli zbadamy dokładnie starszą drągowinę i słabsze drzewostany, które wzrastały w takich warunkach, to znajdziemy tam albo poważny procent wstrętnie ukształtowanych, szeroko rozgałęzionych drzew, albo przeważnie małe drzewka, które zaledwie osiągnęły grubość drzewa kopalnianego. Przy wczesnem i silnem rozpoczęciu trzebieży znikają też krzaczaste drzewa, a średnia grubość dochodzi do stosunkowo większych rozmiarów, tym sposobem osiągając większą wartość. Nie należy wreszcie zapominać, że w przeważnej liczbie siedlisk cenne drzewo tartaczne tak samo trudno wyprodukować, jak buraki na ziemi żytniej VII klasy!



Z lasów litewskich: „Osiczyna“. Podług obrazu A. Pisemskiego.

Na zakończenie muszę jeszcze wspomnieć o zalecanej przezemnie wielokrotnie metodzie, polegającej na tem, ażeby nawożenie wraz ze zmniejszeniem ilości pni połączone było z sobą w sposób najlepszy i najtańszy, co uzyskać można przez pomieszanie sosny z Pinus rigida. Pomieszanie to powinno się odbywać nie rzędami, lecz pojedyńczo.

Pinus rigida rośnie w pierwszych latach na lichych ziemiach szybciej aniżeli Pinus silvestris, a ponieważ nawozi ona grunt przez obfite opadanie igieł, przeto w tym czasie jest bardzo pożyteczna, później jednak, około 10-ciu do 15-tu lat zwolna przerasta ją Pinus silvestris i zmusza do wymarcia. Tym sposobem ta ostatnia bez pomocy ludzkiej zyskuje większą przestrzeń do rozrostu, podczas gdy Pinus rigida jeszcze przez dłuższy czas przyczynia się do oczyszczania gałęzi domieszanej sosny i w końcu po swojem zamarciu i złamaniu jeszcze działa jako pokrycie i nawóz na korzyść Pinus silvestris.

Rozwój tego procesu wykazuje pole porównawcze w nadleśnictwie Freienwalde. W r. 1883-im przeprowadzono tutaj na przestrzeni, przeznaczonej pod uprawę, siew sosny w bróz-

dach oddalonych od siebie 1,3 m. od środka do środka. Przy równym odstępie mieszają się tu z sobą pasy posiane Pinus silvestris, w których to pasach w odstępach 1 m. zasadzone zostały dwuletnie rośliny Pinus rigida. Dokonane w latach 1908 i 1912 zdjęcia wykazały następujący rezultat w cyfrach. (Patrz tablica niżej).

Zdjęcie z r. 1908 stwierdziło bardzo nierównomierny rozwój drzew na przestrzeni czysto sosnowej, drzewa też, które w walce o byt wyszły zwycięzko, objawiały skłonność do rozgałęziania się na szerokość. Natomiast drzewostany mieszane miały dobry wygląd. Pinus rigida niezdolna była wyrosnąć, wytrzymała jednak tym sposobem rozgałęzienia się pozostałych sosen na szerokość.

W r. 1912 względna długość korony w części czysto sosnowej przestrzeni była większa, oczyszczenie zaś z gałęzi postąpiło mniej dobrze naprzód, aniżeli na działce mieszanej. Ta ostatnia wykazywała szczególniej bardzo dobry rozwój drewna. Skłonność do rozgałęziania się na szerokość objawiala się w mniejszym stopniu, aniżeli w czystym drzewostanie sosnowym, a szczególniej objawiało się to tam, gdzie Pinus rigida zniknęła już znacznie wcześniej.

Przyrost u Pinus rigida podczas tego pięcioletniego okresu 1908 — 1912 równał się zeru, podczas gdy bezwzględny przyrost na przestrzeniach obwodowych, a więccj jeszcze procentowy przyrost w drzewostanie mieszanym znacznie przewyższał wartość drzew w drzewostanie czystym.

Wszystkie wyniki moich uwag o najracjonalniejszem obchodzeniu się z sosną na słabych gruntach reasumuję krótko w następujących prawidłach:

1. Zastój i przerwa w przyroście drzew w gąszczach drągowinach na słabszych gruntach powodowane są nieustosunkowaniem ilości pni do zapasu pożywienia w ziemi.

2. Najniekorzystniej w przeważnej liczbie wypadków oddziaływał niedostateczny zapas wilgoci.

3. Polepszenie takich kultur da się osiągnąć z jednej strony przez zmniejszenie ilości pni, z drugiej przez powiększenie ilości materjałów odżywczych.

4. Jako środek najprostszy i najskuteczniej działający mamy do rozporządzenia chróst, który powinien być pozostawiony w drzewostanie. Chróst ten przedewszystkiem pomnaża zapas wilgoci w górnej warstwie ziemi, a równocześnie działa jako nawóz ze względu na to, że posiada znaczną zawartość popiołu.

5. Podczas trzebieży usunąć trzeba zawsze przedewszystkiem drzewa krzaczaste, ponieważ te przy wcale niepożądanych rozmiarach swoich zużytkowują wielkie ilości materjałów odżywczych i wskutek tego działają pod względem gospodarstwa leśnego szkodliwie bezpośrednio lub lepiej ukształtowanym sąsiadom swoim.

6. Bardzo dobry środek do osiągnięcia celu tworzy mieszanie Pinus silvestris z Pinus rigida.

Pozostający drzewostan główny.								Przychód perjodyczny podrzędnego drzewostanu.				Przyrost przeciętny perjodyczny		
Rodzaj drzewa	Wiek	Ilość pni	Powierzchnia przekr. qm.	Średnica cm.	Wysokość m.	Grubizna fm.	Liczba Kształtu	Ilość pni	Powierzchnia przekroju qm.	Wysokość m.	Grubizna fm.	Okres czasu od do	Powierzchnia przekroju qm.	Grubizna fm.
I. Drzewostan mieszany z Pinus rigida i Pinus silvestris.														
P. silvestris . .	25	4110	18.86	7,6	7,5	45,7	323	1280	2,68	6,6	2,0	.	.	.
P. rigida . . .	27	2020	7,88	7,0	6,2	11,7	238	370	0,89	5,5	0,4	.	.	.
	.	6130	26,74	.	.	57,4	.	1650	3,57	.	2,4	.	.	.
P. silvestris . .	30	2790	14,65	8,2	8,1	44,9	379	1320	7,74	8,2	27,5	26—30	0,706	5,34
P. rigida . . .	32	1325	5,95	7,5	7,0	9,8	234	695	1,97	6,6	2,3	28—32	0,008	0,08
	.	4115	20,60	.	.	54,7	.	2015	9,71	.	29,8	.	0,714	5,42
II: Pinus silvestris.														
P. silvestris . .	27	4905	24,91	8,0	8,1	69,1	344	1315	3,44	7,0	4,8	.	.	.
„ .	32	3585	20,99	8,6	8,6	74,2	411	1320	6,32	8,7	21,8	28—32	0,480	5,38

Dr. F. SKOWRONEK.

Gospodarka w świecie zwierzęcym.

„Chęć życia zapala sobie własną latarnię“. Wypowiedzeniem tego drastycznego i krótkiego zdania wywrócił słynny filozof Schopenhauer na nice stary dogmat, który orzekał, że rozum jest źródłem, dostarczającym soków dla stworzenia woli. Nie wrażenia, nie własne doświadczenia i nie wyobraźnia wytwarzają wolę, lecz przeciwnie, wola pobudza rozum do wyszukiwania dróg dla niej.

Jeżeli porównamy najniższe gatunki zwierząt, które utrzymują się na świecie tylko dzięki wielkiej zdolności do rozmnażania, z gatunkami stworzeń, stojących na wyższym szczeblu, które wysilają swój mózg, ażeby osiągnąć jakąśkolwiek zdobycz, to wtedy najlepiej przekonamy się o tem, jak wielki postęp dokonywa się ciągle w rozwoju świata zwierzęcego. Jakaż to ogromna różnica pomiędzy żabą, na którą oddziaływają tylko przedmioty poruszające się, a chytrym lisem! Żaba nie połknie niczego, co się nie porusza, lis natomiast będzie czekał, obchodził i używał podstępu, ażeby się przekonać, czy to nieporuszanie się nie jest czasami udane.

Tak samo, jak u ludzi, potworzyły się w państwie zwierzęcem związki, złożone z różnych „towarzyszow“ i stronników, a mające za zadanie dopomagać sobie w dostarczaniu pożywienia. Bizuny i dzikie konie żyją gromadnie, żórawie i dzikie gęsi w stadach, a celem tego jedynym jest wspólna obrona wobec wszelkich niebezpieczeństw.

Nauka powiada, że prawdziwa gospodarka zarówno u ludzi, jak i u zwierząt, rozpoczyna się z tą chwilą, gdy dane indywiduum zaczyna sobie rozdzielać pożywienie w ten sposób, ażeby niedojedzona reszta starczyła na później, nie wiadomo bowiem, czy dla zaspokojenia przyszłego głodu znajdzie się coś odpowiedniego. Przeważna większość wszelkich zwierząt nie doszła jeszcze do takiego rozwoju, ażeby rozumiała potrzebę oszczędzania, z czego wnioskować trzeba, że te wszystkie zwierzęta stoją bardzo nizko pod względem intelektu. Schwytać zdobycz i zjeść ją natychmiast w całości—oto cała ich mądrość. Jako przykład można tu przytoczyć czworonożne stworzenia roślinożerne.

Nie lepiej dzieje się w królestwie ryb, które podzielić można tak samo na gatunek mniej rozwinięty, a więc głupi, oraz lepiej rozwinięty, rozumniejszy. Pierwsze żywią się roślinami, drugie rzucają się na wszystko i mogą być nazwane rybami drapieżnemi. Ale nawet te lepiej rozwinięte ryby jeszcze nie umieją dobrze gospodarować, bardzo też często przytrafia się, że szczupak obłowi się czemś tak wielkiem, że mogłoby mu to wystarczyć na kilka, lub nawet kilkanaście dni. Czy on to rozumie? Broń Boże, szczupak będzie się męczył, a resztę niedojedzoną porzuci, brak mu bowiem tego zmysłu, któryby świadczył o jego umiejętności „zarządzania majątkiem“. Schwyciwszy mniejszą od siebie rybę, szczupak usiłuje ją w całości połknąć, że zaś nie może tego uskutecznić, więc urządza się w ten sposób, iż połowa schwytanej ryby wychodzi mu z paszczy, on zaś pracuje pośpiesznie, ażeby część połkniętą strawić i resztę dopiero w siebie wciągnąć. Gdyby szczupak umiał odpowiednio „gospodarować“, to zjadłby spokojnie pierwszą połowę, a drugą zostawił sobie na później.

Czworonożne drapieżniki umieją już lepiej rozporządzać swoim łupem, a czasem robią to nawet bardzo przemyślnie. Pies bywa np doskonałym nieraz „gospodarzem“, nasyciwszy swój głód, pozostałe resztki i kości przechowuje, lub zagrzebuje, ażeby później, gdy uczuje głód ponownie, mógł je wydobyć z ukrycia i skonsumować. W ten sam sposób postępuje wilk, chociaż jest to tak żarłoczne stworzenie, że rzadko mu się zdarza zdobyć więcej nad to, co może zjeść odrazu.

Bywają zwierzęta, które nawet urządzają sobie spiżarnie dla nagromadzenia zapasów na czas dłuższy.

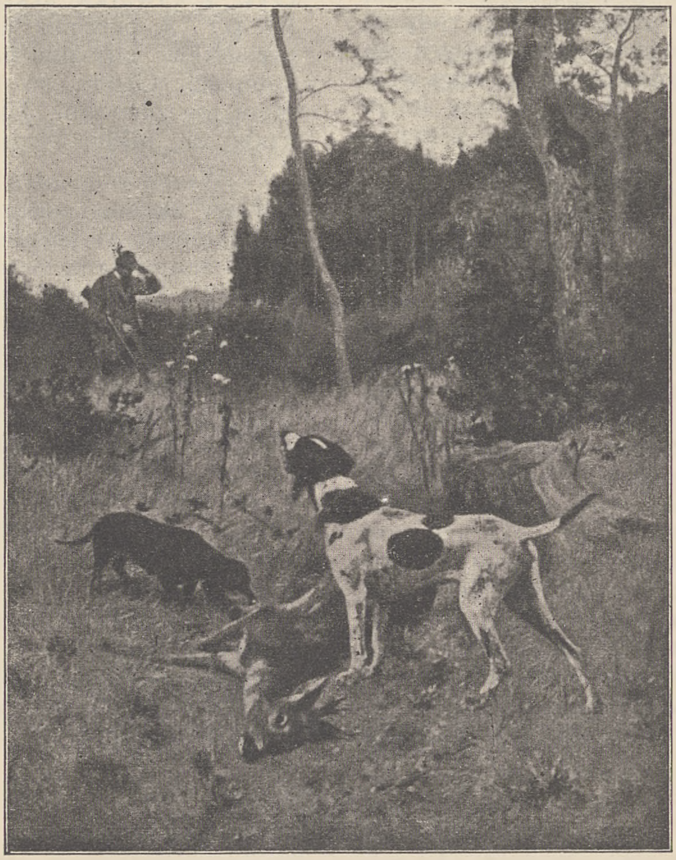
Jeż wyszukuje krzewy z ostremi iglicami, na które to iglice nabija w maju pochwytane chrabąszcze i inne owady, ażeby wtedy, gdy uczuje głód, przyjść w to miejsce i znaleźć pożywienie. Tchórz i kret tworzą formalne śpichrze, których zapasy tak są obliczone, że starczyć muszą na całą zimę. Tchórz, co jest mało znanym szczegółem, nad wszystkie smakołyki przenosi żaby, ogromne też ich ilości gromadzi w swej norze, ażeby zaś nie uciekły, nie zabija ich, lecz tylko tak nagryza, że stają się niezdolne do poruszania. To samo robi kret z chrząszczami, pędrakami i glistami.

Przykłady dobrej gospodarki znaleźć można bardzo liczne u tych zwierząt, które pożywiają się owocami i zbożem. I tak wiewiórka, która nadzwyczaj lubi żołędzie, znosi je do dziupli nieraz o kilka mil nawet, byle nagromadzić sobie żywność na zimę. W tym celu wyszukuje sobie ona jaknajgłębsze wydrążenia w drzewie, a gdy ich nie znajduje, przybiera sobie jako spichrz pozostawione po szpakach gniazda. Amatorów na żołędzie jest więcej, wiewiórka zatem musi wytężać swój spryt, ażeby wytrzymać konkurencję. Ta konkurencja wre na jesieni również pomiędzy samemi wiewiórkami i jedna drugą podpatruje, szpieguje, a gdy się czuje na siłach, to wtedy

postępuje tak, jak gdyby się „polityki“ uczyła u samego Bismarka, mianowicie wpada do dziupli konkurentki, zabiera jej z trudem zebrane żołędzie, a często nawet „wywłaszcza“ z siedziby na wzór pruski.

Inny przykład daje nam chomik, który obok swojej nory buduje specjalną komórkę dla przechowywania zboża w dość poważnych ilościach. Mysz robi to na mniejszą skalę, wszystkim zaś wiadomo, że miód wyrabiają pszczoły i osy na to, ażeby nie zmarły z głodu w ciągu zimy. We wszystkich tych wypadkach wola stworzenia zapala sobie latarkę.

Umiejętność zarządzania i gospodarowania nie ogranicza się tylko na zaspakajaniu potrzeb wywołanych głodem, ale występuje wyraźnie wtedy, gdy chodzi o urządzenie mieszkania. Prawda, że każdy ptak buduje sobie gniazdo, ażeby w niem wylęgać młode; jakaż jednak ogromna zachodzi różnica w sposobie budowania, ile niektóre ptaki zużywają na to sztuki i ile wkładają staranności! Gołąb dziki zadawala się ułożeniem kilku cienkich gałązek choiny na krzyż, a robi to tak niedbale, że można z ziemi dojrzeć okiem złożone tam jajka. Daleko staranniej pracuje pod tym względem bocian, który dba o to, ażeby jego mieszkanie było obszerne i wygodnie napełnione słomą, sianem i pierzem. Jaskółka muruje zupełnie tak samo, jak mularze, słomkę dzieli na małe kawałki i spaja je gliną dla nadania gniazdu trwałości. Kto wie czy mistrzynią człowieka w murowaniu domów nie była kiedyś jaskółka. Wiele gatunków ptaków używa pilśni do tworzenia gniazd, którym nadają formę półkuli.



„Znaleziony“. Podług obrazu J. Schmitzbergera.

Z czworonogów wspomnieć tu należy znów przedewszystkiem wiewiórkę, która również swojemu gniazdu nadaje formę półkuli a dba głównie o to, ażeby to gniazdo było dobrze ogacone i ciepłe. Najczęściej gniazdo to ma dwa otwory, z których jeden, od strony wiatru, bywa zamykany. Nietylko ze względu na swoje zgrabne ruchy, ale również ze względu na inteligencję, jaką wiewiórka posiada, nie powinnaby ona być tak tępiona, jak to się dzieje w ostatnich czasach, z chwilą bowiem przerzedzenia, a nawet ubytku tej „baletnicy leśnej“, nasz las polski straci bardzo dużo uroku.

Znaczna część czworonogów wykopuje sobie jamy, ażeby w nich zamieszkać. W ten sposób postępuje kret, mysz, królik, wydra, świstak, lis, borsuk, bóbr i t. p.

Przystępując do tworzenia sobie jamy, każde takie zwierzę dba nietylko o to, ażeby zapewnić sobie spokój, ale również, ażeby się tutaj mogło czuć bezpiecznie. Do zażywania spokoju służy przestronny, ciepło wyłożony kocieł, dla bezpieczeństwa zaś tworzone są ganki, nieraz tak długie, że zwierzę musi przejść kawał drogi, zanim wydobędzie się na powierzchnię ziemi. Otwory tych ganków umieszczane bywają zazwyczaj w gąszczach.

Niejeden lis, osaczony przez myśliwych, zręcznie zbudowanemu gankowi zawdzięcza uratowanie życia.

Mieszkanie pszczół i mrówek pod względem technicznym stoją daleko wyżej od najlepiej nawet zbudowanej jamy, czy też nory czworonoga. Konstrukcja sześciokątnych komórek u pszczół i paliki, ułatwiające wchodzenie pod górę na pagórkach u mrówek mogłyby nawet naprowadzać na myśl, że mamy tutaj z nadzwyczajną mądrością i doświadczeniem do czynienia. A przecież wiemy, że ani pszczoła, ani mrówka nie są obdarzone bynajmniej wielką inteligencją. Jakim tedy sposobem doszły do takiej doskonałości w budowie swoich mieszkań, to pozostaje tajemnicą, jedną z tych wielu, jakie chowa w swem łonie natura.

U bobra nie dziwimy się wcale, gdy widzimy, że on przy pomocy porąbanych drzew wchodzi na wodę i tam buduje swoje mieszkanie. Tu już nie ulega najmniejszej wątpliwości, że bobry pracują wspólnemi siłami, tworzą kooperatywy, dzięki czemu najcięższe nawet podejmują roboty. Przystępując razem do pracy bobry potrafią drzewo podpiłować i przewrócić, następnie to drzewo znów wspólnemi siłami przenoszą nad wodę, tutaj tworzą szluzę za pomocą gałęzi, ażeby tym sposobem powstrzymać siłę prądu i niedopuścić do na-

noszenia do mieszkania różnych przedmiotów pływających na wodzie. Dopiero, gdy dokonają tej pracy, przystępują do budowy właściwych mieszkań, z których wyjścia kierowane są pod wodę.

Drugiego takiego przykładu celowej gospodarki wspólnej niema w całym świecie zwierzęcym. Istnieją wprawdzie pewne gatunki ptaków, które również budują sobie wspólne gniazdo, i które wspólnie karmią młode, ale daleko im jeszcze do bobrów, gdzie dążenie do wspólnej pracy niema żadnego bodźca seksualnego. Pod względem psychologicznym bobry stoją bezporównania wyżej jako kooperatyści od os, mrówek i pszczół. Nauka, która musi poszukiwać przyczyn tego rodzaju zrzeszania się stworzeń jednogatunkowych, do tej pory nie mogła jeszcze wpaść na trop właściwy. Stosując do tego objawu miarę ludzką, należałoby powiedzieć, że jest to pierwowzór państwa komunistycznego, w którem każdemu członkowi, stosownie do jego uzdolnienia, wymierza się pewien dział pracy, a za wykonanie tej pracy zapewnia się wyżywienie i opiekę.

Że zwierzęta działają kooperatywnie wtedy, gdy chodzi o odparcie grożącego im niebezpieczeństwa, na to wiele przytoczyć można przykładów. Jeżeli na żyjące towarzysko zwierzęta przeżuwające napadnie jakikolwiek drapieżnik, to z pewnością nie opuści zagrożonego towarzysza cała gromada i będzie napastnika usiłowała odeprzeć. Gdy jedna z wron dojrzy zdaleka jastrzębia, to przeraźliwym krzykiem przywoła siostrzyce swoje na pomoc i wszystkie wrony znajdujące się w pobliżu zgromadzą się w celu natarcia na drapieżnika. Wola ogółu wytwarza wtedy taką energję, na jaką nie zdobyłoby się żadne zwierzę, ani żaden ptak wzięty pojedyńczo.

O ile u bobrów widzimy typ państwa komunistycznego, o tyle u pszczół mamy wyraźny wzór państwa dynastycznego z królową na czele i stopniami hierarchicznemi, jak trutnie i pszczoły robocze.

Naukowo biorąc te rzeczy, trzeba przyznać, że nie te stworzenia stoją najwyżej pod względem intelektualnym, które wspólnemi siłami pracują nad wyżywieniem siebie, nad tworzeniem mieszkań i nad unikaniem niebezpieczeństw, ale te, które podług ludzkich pojęć, tworzą korporacje jedynie dlatego, ażeby zaspokoić wyższe potrzeby swoje. Weźmy np. kruka i zapytajmy się, jaki pożytek może on mieć z błyskotki, którą sobie przywłaszczył, z kawałka szkła, z pierścionka, lustra i t. p.? A przecież ukradnie on zawsze taki przedmiot, gdy mu się po temu nadarzy sposobność! Głodu swojego szkłem ani kamieniem nie zaspokoi. Jakiż tedy ma cel, dopuszczając się takiej kradzieży?

Wedle objaśnień ludzi uczonych ma kruk porywy zachceń natury estetycznej i znajduje przyjemność w przyglądaniu się, oraz bawieniu przedmiotami sztuki. To, co błyszczy, pociąga go ku sobie i przechowuje taki przedmiot starannie, ażeby go od czasu do czasu wydobyć z ukrycia i nim się nacieszyć.

Jeszcze lepszy dowód na potwierdzenie tego, że ptaki mają pewne poczucie piękna, mamy na niektórych gatunkach ptaków australijskich, które wyznaczają sobie od czasu do czasu punkt zborny i upatrzone miejsce na kilka dni przed zlotem przystrajają kwiatami, różnobarwnemi piórami, kolorowemi kamieniami i t. p.

Przytaczając tutaj tę garść uwag, dochodzimy do wniosku, że w świecie zwierzęcym, aczkolwiek bardzo powoli, postępuje naprzód rozwój tego, co my nazywamy umiejętnością gospodarowania.

Stosunek kory do masy drzewnej.

Powierzchowny bodaj rzut oka wystarcza do stwierdzenia faktu, że przy równych pod tym względem wysokości i grubości w drzewach stosunek kory stosownie do gatunku drzewa, jego wieku i siedliska, jak również stosownie do mniej lub więcej gęstego drzewostanu bywa nadzwyczaj różny. Przy równych co do długości i grubości drzewach ściętych różni się ta kora nawet w oddzielnych częściach drzewa. U sosny jest stosunek kory do masy drzewnej większy, niż u swierka, u starej sosny, wyrosłej na lichym gruncie, jest on także większy, aniżeli u młodej, wyrosłej na dobrym gruncie. Przy dostawach drzewa chodzi w przeważnych wypadkach o to, ażeby posiadać odcinki, świadczące o pochodzeniu drzewa, z tem bowiem trzeba się z góry liczyć, że wypośrodkowane drogą praktyki cyfry będą się wprawdzie bardzo różniły pomiędzy sobą, ale w każdym razie dadzą one pewną podstawę do obliczeń.

Co się tyczy grubości kory, to wzmaga się ona w miarę lat i średnicy. Hufnagl wykazuje następujące, podwójne grubości kory

na wysokości około 3 m. od ziemi, a więc odciąga od średnicy z korą odpowiednią ilość, ażeby otrzymać drzewo bez kory:

Średnica z korą.

Centymetry	Sosna	Świerk	Jodła	Modrzew	Buk
	M I L I M E T R Y.				
17	12—16	6— 8	8—14	18—24	4— 6
25	12—16	10—12	14—18	24—34	6—10
35	16—18	12—14	20—22	36—48	10—12
45	18—24	16—18	22—26	38—60	14—18
ponad 50	24—28	18—24	26—30	60——	18—28

Wyliczenia Ganghofera co do podwójnej grubości kory u sosny niewiele różnią się od podanych tutaj cyfr.

Średnica	10	20	30	40	50 cm.
Kora	9	11	14	16	18 mm.

Lehnpfuhl w przednowie swojej do tabeli drzewa kopalnego podaje grubość podwójną dla tych drzew:

Sosna, wierzchołek	5,5	10,5	15,5	20,5	25,5	30,5 cm.
Kora	2,9	4,7	7,2	10,3	17,7	23,6 mm.

Przy sosnie odróżnia on Prusy Wschodnie od innych okolic Niemiec:

Prusy Wschodnie:
4,8 5,8 7,4 9,4 11,4 13,4 cm.
Inne miejscowości:
3,7 5,0 6,5 8,0 9,5 11,0 mm.

Dla kupca grubość kory stanowi rzecz drugorzędną, daleko ważniejszą dla niego kwestją jest stosunek procentowy kory, a więc część przypadająca na korę w ogólnej masie drzewnej.

Sosna. Hufnagl podaje 7 — 16, Gayer 11—15% przy długości drzewa użytkowego; my sami na podstawie wypośrodkowanych przez nas tysiącach metrów kubicznych w jednym rewirze o bardzo średnim zwirkowatym gruncie, w drzewostanie około 120-to letnim, przeważnie krótkostrzałowe obliczyliśmy w pojedyńczych porębach 10,4 do 20,4% przy długości drzewa użytkowego. Schwappach podaje 10—16% z ogólnej masy drzewnej.

U drzewa kopalnego w tym samym rewirze (przeważnie stare stuletnie, ale bardzo krótkostrzałowe drzewo) ustanowiliśmy 9,1 — 19,0% a przeciętnie 18,1%, w innym zaś rewirze, posiadającym lepsze warunki dla rozrostu, a więc posiadającym również dłuższe drzewo 8,7—14,6, czyli średnio 12,5%. Szczególniej te ostatnie cyfry nie odbiegają zbyt daleko od procentów kory podanych przez Lehnpfuhla w jego rozszerzonej tabeli. Podług L. wynosi stosunek kory do masy drzewnej (jeśli to masa tego samego stempla porównana przed i po odarciu z kory):

Grubość wierzchołka z korą cm.	Stemplem. 1	3	5
6	9,4	8,8	8,5
9	8,4	8,7	9,0
16	9,1	9,1	9,2
20	9,9	10,9	11,8
25	13,4	13,9	14,4
30	—	15,0	15,1

Prawidłowość powiększania się długości i grubości, zawarta w tych cyfrach, bije wprost w oczy.

Świerk. Hufnagl wykazuje u długiego drzewa użytkowego 8 — 12%, Gayer 10—13, Burchhardt 10%, my zaś wypośrodkowaliśmy w wielkich ilościach tego drzewa 9—11,7%. Cyfry nie odbiegają od siebie tak bardzo, jak to się dzieje u sosny. Najdetaliczniejsze badania pod tym względem przeprowadził Borgman z prowincji Nadreńskiej, który opracował 4 klasy szacunkowe drzewa długiego. Zawartość kory stoi w następującym stosunku procentowym:

Klasa gruntu:		I, II	III	IV, V
Klasa szacunkowa				
Dłużyce	I	7	8	9
„	II	8	9	10
„	III	9	10	11
„	IV	10	11	12
Drągi	I	11	12	13
„	II	13	14	15
„	III	15	16	17

Jako szczegół charakterystyczny tych klas ziemi przytaczamy to, że przeciętna wysokość drzewostanu wynosi w 80-tym roku w I klasie 30 m., w III — 21 m., w V—14 m. Poza tem cyfry mówią tak same za siebie, że prawidła niepotrzeba bliżej formułować. Guttenberg podaje z ogólnej zawartości drzewa 7—8% na najlepszej ziemi, na słabszej 10—12%. Przy cellulozie znaleźliśmy 14,7%, zastrzegamy się jednak, że cyfra ta wydaje nam się wyjątkowo wysoką.

Dla drzewa kopalnego podaje Lehnpfuhl:

Długość wierzchołka cm.	Długość stempli w metr. 1	3	5
6	11,7	10,8	10,1
9	9,7	9,4	9,1
12	8,8	8,7	8,5
15	8,2	8,1	7,9
18	7,8	7,7	7,7
25	7,3	7,3	7,2
30	—	7,1	7,0

Porównanie powyższych cyfr u drzewa kopalnego jest z tego względu interesujące, że widzimy, iż u sosny procenty rosną w miarę wzmagającej się grubości wierzcholka, u świerka zaś one maleją.

Co do *jodły* przytaczane bywają u drzewa długiego 8—12, 12,5%, podług Gayera zaś udział kory w ogólnej masie drzewnej wynosić może aż do 17%.

Modrzew wykazuje bardzo wielki procent kory, podczas gdy Gayer wylicza tylko 11—15%, Hufnagl wylicza 20—24%.

U buka stosunek kory jest mały, Hufnagl podaje go na 5—8%, Schuberg u grubszego drzewa użytkowego z lepszych siedlisk 3%, z gorszych 7%, a stosunek ten rośnie od niższych do wyższych części drzewa.

Po za tem interesować nas może jeszcze dąb, Hufnagl podaje u długiego drzewa użytkowego 7—20, Gayer 12—15, Burckhardt 14%; Schwappach na całej zawartości drzewa 15—20%. Lehnpfuhl przytacza dla drzewa kopalnego:

Grubość wierzchołka,					
	7/10	10/13	13/16	16/20	20/25 cm.
Magdeburg i Hildesheim,					
	16,7	15,8	16,3	17,1	16,6%
Trewir,					
	—	—	10,8	11,0	12,9 „

(*Holzmarkt*).

Na łosia!



Już od wielu lat pociągała mnie ku sobie Norwegja, o której tyle napisano artykułów wychwalających jej piękność, jej prawych mieszkańców, jej bogactwo pod względem fauny i flory. Marzyłem o zwiedzeniu tej północnej krainy i ostatecznie pewnego dnia wrześniowego spakowałem swoje manatki, ażeby wyruszyć na północ i o ile to będzie możliwe, zapolować tam na łosia.

Nie powiem, ażeby sama podróż okrętem noszącym nazwę „Olaf Kyrre" należeć miała do najprzyjemniejszych, był to bowiem statek niewielki, a przytem nieznośnie bujający, jeżeli zaś do tego dodam jeszcze, że naładowany on był przeważnie beczkami od śledzi, to chyba nikt się nie zdziwi, iż ustawiczne bujanie, połączone z wstrętną wonią, nawet człowieka najodporniejszego pod tym względem przyprawiać musiały o ciężką chorobę morską. Nareszcie rano o godzinie 7-mej i pół wyruszyliśmy z Trondhjem, ażeby wieczorem o godz. 10 i pół dnia 9-go września stanąć w Namsos. Okolicznością łagodzącą w tej całej podróży było bardzo miłe towarzystwo, złożone z 6-ciu młodych panów, którzy odrazu ze wszystkimi porobili znajomości. Ponieważ niektórzy z tych panów niejednokrotnie przebywali dłużej lub krócej w Norwegji i urządzali sobie tutaj polowania, przeto my nowicjusze słuchaliśmy z wielkiem zajęciem ich barwnych opowiadań. Poprostu nie mogliśmy się doczekać tej chwili, gdy będziemy mogli opuścić nasz niegościnny statek ażeby się udać do konsula p. Juella, który zawiadomiony był o naszem przybyciu i przyrzekł nam wszystko ułatwić.

Nie łatwa to jednak była rzecz wylądować, kiedy też nasz statek stanął już na kotwicy, zapanował taki tutaj rozgardjasz, że zdawać się mogło, iż wszyscy potracili głowy.

Podług zwyczaju tutejszego opłata za przejazd uiszcza się dopiero na miejscu, chcieliś-

my to uczynić jaknajprędzej, ale kapitan i sternik biegali jak opętani po pokładzie, i na naszą uprzejmą prośbę, ażeby raczyli odebrać pieniądze, odpowiadali ciągle, że w tej chwili nie mają czasu. W końcu doręczyliśmy jednak zapłatę, ale powstała teraz nowa trudność wydobycia naszych pakunków, które najspokojniej leżały na samem dnie, pokryte aż do góry pakunkami osób jadących do Bodö, a więc takich, którzy jeszcze mają całe dwa dni podróży przed sobą.

Kilka godzin strawiliśmy nad tem, ostatecznie jednak wysiedliśmy na ląd i udaliśmy się do „Grand Hotel", gdzie oczekiwał na nas p. konsul Juell. Byłoby mi przyjemnie poznać miasto, w którem nie znajdowałby się „Grand Hotel", w Norwegji każda mieścina ma tego rodzaju zajazd, który jednak nie może być nazwany ani „Grand", ani nawet „Hotel", właściwie bowiem są to mizerne szynki z pokoikami do noclegu. Na szczęście w Namsos szynk ten nie był taki najgorszy, kolację zaś podano nam zupełnie smaczną, a chyba nie potrzebuję dodawać, ze po takiej uciążliwej podróży rzuciliśmy się na potrawy, jak wygłodzone wilki. Z wieczerzą musieliśmy się załatwić prędko, konsul Juell bowiem nalegał ażebyśmy tego wieczoru jeszcze zaprowiantowali się dobrze na drogę, gdyż ze wschodem słońca trzeba wyruszyć w pole. Zakupami dla nas zajął sie gospodarz hotelu i oczywiście zacierał ręce z radości, taka bowiem gratka nie przytrafia mu się często. Ceny na wszystko stawiał nam nadzwyczaj słone, woleliśmy jednak płacić hojnie, byle tylko gawędzić przez cały wieczór, a nawet część nocy z miłym konsulem. Niektórzy z towarzyszów moich czynili tak obfite zakupy, jak gdybyśmy się wybierali do bieguna północnego. Całe skrzynie konserw, wina i t. p, znoszono ustawicznie, a wśród zapasów nie zabrakło także licznych butelek perlistego szampana. Co do mnie, to skromne stawiałem wymagania, nie o ilość bowiem mi chodziło, ale o jakość towarów, nie zapomniałem też o tem, ażeby zabrać z sobą spory worek ryżu, kaszy, cukru rąbanego, soli i kilka butelek soków rozmaitych.

Wszystko to zajęło nam czas do godz. 1-ej po północy, a położywszy się do łóżka usnąłem natychmiast. Pierwszy fakt, który stwierdziłem następnego poranka był deszcz, padający tak równiutko z chmur ołowianych, że nie trzeba było na to wcale wielkiego astronoma, ażeby się domyśleć, iż o wypogodzeniu na długo nie może być mowy. Pożyczyłem sobie tedy od gospodyni parasol bajecznych rozmiarów, pod którego osłoną w wielkich susach przebiegłem na drugą stronę ulicy i wpadłem do kupca, gdzie nabyłem na prędce ciepłą kamizelkę z rękawami i marynarkę nieprzemakalną. Doskonały to był pomysł, te dwie bowiem sztuki ubrania oddały mi podczas całego pobytu znakomite usługi w tym kraju, niewątpliwie bardzo pięknym, ale nadzwyczaj deszczowym w porze jesiennej.

Po spożyciu śniadania zajechał przed nasz hotel wygodną karjolką zamożny chłop, nazwiskiem Antoni Lassemon, właściciel i dzierżawca rewiru, obfitującego w łosie. Ów Lassemon pełnić miał w jednej osobie obowiązki przewodnika, strzelca i służącego, a był to człowiek wysoki, grubokościsty, o szerokich barach. Niewiele mówiąc ujął moję drewnianą walizkę i przywiązał ją mocno do wozu, poczem usiadł na niej, mnie wskazał miejsce na przedniem siedzeniu i oddał mi lejce w rękę. Lassemon przyjechał specjalnie po mnie, a nie chcąc stracić zarobku, wyruszył z domu na noc i przed chwilą przybył do Namsos, ażeby natychmiast ruszyć znów z powrotem.

Droga taka wynosiła 190 klm. i prawie wierzyć się nie chciało, że ten mały, o nastroszonej szerści konik może przebiegnąć tak wielką przestrzeń. A jednak tak było! „Hest Bruno" nadzwyczajnym był wprost koniem, i jak się później o tem przekonałem, potrafił 1 i pół dnia biedz bez przerwy kłusem 120 klm., a tylko wtedy, gdy trzeba było jechać pod znaczniejszą górę, zwalniał kroku. Gdzie indziej byłoby to absolutnie niemożliwe, ale w Norwegji drogi polne są wyjątkowo doskonałe, dzięki temu, że każdy właściciel gruntu musi swoim kosztem utrzymywać drogi w porządku i słuchać pod tym względem bardzo ostrych przepisów władzy inżynierskiej.

Oprócz tej karjolki przybyło jeszcze pięć innych powózek dla pozostałych towarzyszów podróży, wszyscy też wyruszyliśmy „gęsiego" w kierunku wschodnim, a droga wiodła nas wzdłuż dolnego biegu rzeki Namsen. W niektórych miejscach okolica była czarująco piękna. Strome góry zalesione drzewami iglastemi dochodziły nieraz aż do brzegu rzeki, płynącej z zawrotnym szumem po ogromnych pokładach skalnych. W niektórych miejscach droga była tak wąska, że z trudem przemykaliśmy się naprzód. Ani jednej doliny, ani jednego wąwozu, z którego nie wypływałby większy lub mniejszy strumyk, dający wyborną wodę dla pstrągów. Te kaskady, te wodospady, z których nawet przy lżejszym podmuchu wiatru jak gdyby kurz rozpryskiwał się na rożne strony, ten szum wód, te ciągle zmieniające się widoki są tak wspaniałe i tak ciągle odmienne, że oko nie może wszystkiego objąć i utrwalić w pamięci. Cudna zaiste, przewspaniała jest tutaj natura!

Z zachwytów wyrwało nas ukazanie się nagle na zakręcie drogi trzech od stóp do głów uzbrojonych mężczyzn, mających widocznie zamiar przejść po wązkiej łączce do lasu. Okropnie wyglądali ci ludzie! Ubrani byli w kostiumy, jakich nie chciałby włożyć na siebie najgorszy nawet robotnik, zaopatrzeni zaś byli w broń wojskową przedpotopowego prawdziwie gatunku. Gdyby u nas w lasach spotkało się trzech takich osobników, to chyba każdy strzeliłby odrazu, nie czekając co z tego wyniknie, tutaj jednak jeden z towarzyszow na-

szych ku niemałemu zdziwieniu mojemu objaśnił:

— Oto tak wygląda prawdziwy *norsk Bonde* (chłop norweski), gdy się wybiera na łosia!

I rzeczywiście był to pierwszy dzień, 10-ty września, od którego rozpoczyna się polowanie na tę zwierzynę. Wątpię, czy przy pomocy takiej broni polowanie tych trzech chłopów przyniesie jakikolwiek rezultat.

Na południe zajechaliśmy do miejscowości Ranem i zatrzymaliśmy się przed *Skydsstation* (pocztą), gdzie w doskonałem usposobieniu zasiedliśmy do stołu. Humory nasze ożywiły się jeszcze więcej, gdy do naszego towarzystwa przyłączył się pewien pan z Austrji, podróżujący tutaj z młodą, bardzo ładną i bardzo miłą żoną. Mniej przyjemnie wypadło zawarcie znajomości z „Bollerem".

Co to jest?—zapytacie, objaśnię więc natychmiast, że „Boller" nosi nazwę potrawa, coś w rodzaju kluseczek z mięsa. Koloru tej potrawy opisać nie sposób, z czego się ona składa również trudno opowiedzieć, a już o smak nie pytajcie się nawet. Z zewnętrznego wyglądu przypomina boller mocno woniejące gomółki, najlepiej zaś zrobi ten, kto potrawę odrazu odsunie do swojego sąsiada. Potrawy o tak podłym smaku niema chyba drugiej na świecie, gdybym też kiedykolwiek jeszcze znalazł się w Norwegii, to żadna siła ludzka ani piekielna nie zdołałaby mnie zmusić do spożycia nawet kawałeczka bollera. Na szczęście znalazły się tu jeszcze inne potrawy, mogliśmy zatem nasycić się dostatecznie, ale smak bollera pozostał mi jeszcze długo w ustach, a na samo wspomnienie dzisiaj pluję na wszystkie strony i klnę co się zmieści.

Z Ranem wyruszyliśmy wszyscy razem, ale już za miejscowością Grong rozdzieliły się nasze drogi, i podczas, gdy główna część mężczyzn podążyła ku południowi na wspaniałą dolinę Sanddöla, zabierając z sobą ku wielkiemu mojemu zmartwieniu piękną panię, ja tylko z jednym towarzyszem udaliśmy się na północ, jadąc wciąż wzdłuż brzegów rzeki Namsen. Około wieczora minęliśmy potężny Fiskemfos, szeroki, piękny wodospad, który o swoim istnieniu opowiada daleko i szeroko. Słyszeliśmy szum coraz głośniejszy, ale długo trwało, zanim dojechaliśmy tuż do wodospadu. Niedaleko od tego miejsca leży wieś Fiskem, cel naszej dzisiejszej podróży, gdzie dla nas już z góry przygotowano nocleg, i gdzie spotkaliśmy się z pewnym młodym szkotem, bardzo miłym człowiekiem, który również wybrał się na polowanie na łosie. Szkot ten chodził już przez cały dzień i tropił, ale nie dojrzał ani jednej sztuki. Wesoło gawędząc, przepędziliśmy wieczór, gościnny zaś szkot wydobył ze swoich zapasów puszkę Mixed Pickles i butelkę Worcestershire firmy Lea i Perrin. Szelmowski trunek! Posiada on wprost wściekłą moc, po wypiciu też jednego kieliszka oczy wyszły mi na wierzch, a tchu przez długą chwilę nie mogłem złapać. Dopiero po odetchnięciu rzekłem do towarzysza:

„Mam wrażenie, jak gdyby sam djabeł nalał mi gorącej smoły do gardła".

Nasz szkot był wspaniale wytrenowanym człowiekiem, muskuły posiadał jak kamienie, jakie zaś musiał posiadać siły, niech zaświadczy fakt, że nazajutrz rano, zmuszony przejść przez jego pokój, ujrzałem go w stroju adamowym, kąpiącego się w wannie gumowej w zimnej wodzie i palącego przy tem mocne cygaro importowane. Wiem coś o tem, jaka to moc jest w owych cygarach, kiedy bowiem wieczorem zapaliłem jedną sztukę, doznałem odrazu ogromnego zawrotu głowy. A ten człowiek palił o godz. 6-ej rano o czczym zupełnie żołądku..

O godz. 7-ej zajechał Antoni i pojechaliśmy już teraz we dwójkę dalej. Na promie przebyliśmy rzekę Namsen i dojechaliśmy do Fjerdyngen, ostatniej stacji pocztowej, gdzie znalazłem tak doskonałe piwo, że nietylko zabawiłem tutaj dłużej, ale wszystkie kieszenie surduta, paltota, plaszcza, spodni i t. p. napełniłem butelkami przedziwnie smacznego „oleju", piwo bowiem nosi tutaj nazwę „oel". Uczuwałem dziwne pragnienie i przypuszczam, że wywołały je owe pikle szkota, które conajmniej przez tydzień leżały mi w żołądku. Im więcej piłem piwa, tem większe uczuwałem pragnienie, a ustało ono dopiero wtedy, gdy wychyliłem kilka szklanek znakomitej wody źródlanej.

Około południa dotarliśmy nareszcie do rewiru, który od swojego właściciela nosił nazwę Lassemon. Obliczając wszystkie postoje, całą tę drogę około 90 km. długości i ciągle wiodącą pod górę przejechaliśmy z Namsos do Lassemon w ciągu około 10-ciu godzin.

Cała zagroda Antoniego składa się z 10-iu blizko siebie i w prostej linii ustawionych domków drewnianych, wszystkie zaś one zbudowane są na sposób norweski t. j. na czterech rogach znajdują się płyty kamienne, na których dopiero ustawia się dom właściwy. Jak mnie objaśniono, te płyty kamienne bronią dostępu wilgoci i utrudniają przytem wtargnięcie myszy i szczurów.

Kiedy nasz wózek się ukazał, cała rodzina Lassemonów wyszła na nasze spotkanie, a byli to ludzie uprzejmi, serdeczni, wysokiego wzrostu i dobrze zbudowani, a zdrowi tak, że każdy mógłby im tego pozazdrościć. Uwagę moją zwróciła siostra Antoniego, imieniem Bedett, starsza już panna, bardzo masywnie zbudowana, a kości mająca tak grube, że nie jeden silny chłop nie może się niemi pochwalić. Ową Bedett zgodziłem sobie na cały czas pobytu mojego na kucharkę, płacąc jej 1 i pół korony na dzień. Pięknością nie grzeszyła bynajmniej i niewiem czy nawet na odludnej wyspie potrafiłbym się w niej zakochać. Nawet na bezrybiu ten rak miałby za twardą skórę na rybę. Pokój oddano mi do dyspozycji bardzo miły, przestronny i jasny, co zaś najciekawsze, to, że drzwi wiodące na dwór

z tego pokoju nie dały się w żaden sposób zamknąć. Trochę było mi to nieprzyjemnie, zabrałem bowiem z sobą sporo monety i najmniejszej nie miałem ochoty, wychodząc na polowanie, dźwigać z sobą cały zapas gotówki. Złoto należy w Norwegji do wielkich rzadkości, do tego stopnia, że kiedym później w Christianji płacił w Grand Hotelu kelnerowi złotą 20-to koronówką, ten człowiek z wielką podejrzliwością brał pieniądz do ręki, nie spuszczając ze mnie oka. Ponieważ zaś mało jest prawdopodobieństwa, ażeby w głuszy wiejskiej można było zmienić większy pieniądz papierowy, przeto wybierając się w podróż po kraju, trzeba wziąć z sobą znaczną ilość mniejszych papierków (fem — i ti kronesedler, czyli pięcio i dziesięcio koronówki). Nie wiedząc co zrobić z paczką takich pieniędzy, zwróciłem się do Antoniego z zapytaniem, odpowiedź zaś, jaką otrzymałem, nie tylko zdumiała mnie, ale wprost zawstydziła. Czyż my, ludzie kulturalni, możemy nawet przypuszczać, że w dzisiejszych czasach mogą się znaleźć tak uczciwi ludzie, jak tam na dalekiej północy!

— Położymy te pieniądze tutaj na stole — rzekł Antoni — a przyciśniemy je kamieniem, ażeby czasami wiatr czego nie rozdmuchał.

Jakże nie podziwiać i nie zazdrościć tym ludziom prostym, którzy nie znają nawet cienia podejrzliwości względem bliźniego swojego?! Kiedy później szedłem drogą polną, ujrzałem na skraju lasu leżące grabie, taczkę, łopatę i inne narzędzia, które Antoni pozostawiał tutaj, nie troszcząc się o nie zupełnie. Po kilku tygodniach wracałem tą samą drogą i wszystko leżało tak samo, jak przedtem. Nikt nic nie ruszył, choć była to droga bardzo uczęszczana. Zrobiłem wówczas uwagę, że u nas nie możnaby nic pozostawić na polu, Antoni zaś pomyślał chwilkę, a potem rzekł:

— Słyszałem, że i u nas po wielkich miastach są tacy ludzie, którzy zabierają z sobą to, co do nich nie należy. O takich ludziach powiadają, że oni kradną.

Oto definicja pojęcia, które znane mu było tylko z opowiadania!

Powróćmy jednak do Lassemon! Po powrocie naszym z wycieczki do rewiru pojawiła się urocza Bedett, przynosząc obiad. Składał się on z kawała mięsa peklowanego i upieczonego, do jakiego jednak zwierzęcia należało to mięso za życia trudno było odgadnąć, i do tej pory nie wiem, czy jadłem wówczas wołowinę, czy wieprzowinę, czy baraninę, czy też może łosinę? Do tego mięsa dołączyła nadobna Bedett niedojrzałe kartofle o smaku bardzo niewyraźnym, a podobnym chyba do smaku mydła. Nie bardzo to wszystko wyglądało zachęcająco, lepsze rzeczy jadło się nieraz w życiu, wyperswadowałem sobie jednak prędko, że przecież nie na to przyjechałem do Lassemon, ażeby używać różnych przysmaków. Przymusiłem się zatem i zmiotłem wszystko przykładnie z talerza. Byłbym jednak bardzo niesprawiedliwy, gdybym nie pochwalił wprost wspaniałego kompotu, jaki mi Bedett podała na deser. Były to jakieś jagody, noszące w języku norweskim nazwę „Tranebaere“, a bardzo podobne do naszych borówek, z tą tylko różnicą, że są większe i nadzwyczaj aromatyczne. Po kompocie przy-



„Kapitalny łoś przed myśliwym“. Podług obrazu S. Woroszyłowa.

szła doskonała, mocna kawa czarna, co już w związku z dobrem cygarem zupełnie przywróciło mi dobry humor.

Wkrótce po obiedzie zjawił się Antoni ze swoim psem „Rappem“, umyślnie tresowanym na łosie. Był to znak, że trzeba wyruszyć w pole. Wziąłem tedy moją fuzję repetjerową systemu Mannlicher-Schönauer w rękę, Antoniemu przewiesiłem dryling Sosnowskiego z Warszawy przez plecy i wyszliśmy z domu, ażeby skorzystać jeszcze z pory popołudniowej. „Rapp“ jest bardzo ładnem i żywem zwierzęciem o ciemnem, prawie czarnem owłosieniu. Z wyglądu przypomina trochę nasze owczarki, posiada też puszysty ogon, który zwija zręcznie i dumnie kroczy naprzód, wietrząc na wszystkie strony. Nie łatwa to była rzecz dla Antoniego utrzymać psa na linie, rwał się bowiem ciągle naprzód i wykazywał taką chęć czynu, że trzeba go było ustawicznie mitygować.

Przez dłuższy czas drapaliśmy się w górę przez las mieszany iglasto-liściasty, doszedłszy zaś na szczyt, znaleźliśmy tutaj obszerną płaszczyznę, zupełnie pokrytą mchem. Takie płaszczyzny na górach noszą w Norwegji nazwę „Myr“. Nie łatwy to jest pochód, gdy nogi grzęzną w owym mchu wysokim, musieliśmy jednak przejść całą płaszczyznę, ażeby nabrać wiatru, co przy polowaniach na łosie nadzwyczaj ważne ma znaczenie. Potem zapuściliśmy się znów w las gęsty. Po drodze znajdowaliśmy często stare ślady legowisk i wypróżnienia łosiów, na świeży jednak trop nie mogliśmy trafić zupełnie. Natomiast często napotykaliśmy cietrzewie i jarząbki. ażeby jednak nie przerywać sobie tropienia, nie strzeliłem ani razu. Chciałem to uczynić w drodze powrotnej, ażeby zdobyć dobre mięso na jutrzejszy obiad, ale niestety w niższych regjonach nic się nie ukazało.

Niejednokrotnie musieliśmy przechodzić przez różne strumyki, a gdy się okazało, że strumyk jest za szeroki, ażeby go przeskoczyć, to wtedy przeprawiał się Antoni wpław i przenosił na drugą stronę naszą broń oraz przywiązywał Rappa do drzewa. Następnie powracał po mnie i brał mnie na barana, przenosząc również na drugą stronę. Po każdorazowej takiej przeprawie siadał Antoni na ziemi, rozwiązywał swoje „löpersko“, wyjmował z niego sporą wiazkę siana, wyciskał to siano z wody, poczem kładł je z powrotem do buta, a następnie nadziewał na nogę, zawiązywał na nowo i już mogliśmy iść dalej. A ponieważ musieliśmy przebyć dwa szerokie strumienie, przeto przeprawa taka powtórzyła się cztery razy.



„Słaby łoś w miocie“. Podług obrazu S. Woroszylowa.

Przez całe popołudnie deszcz ani na chwilę nie przestawał padać, łatwo więc sobie wyobrazić, że kiedy o godz. 7-mej wieczorem zjawiliśmy się z powrotem w Lassemon, byliśmy obaj przemoczeni do ostatniej suchej nitki. Przebrałem się pospiesznie, wyczyściłem natychmiast naszą broń, zjadłem kawałek zimnego mięsa z obiadu, popłukawszy je 1 i pół litrami „öelu“ i udałem się na górę, ażeby natychmiast położyć się do łóżka.

Owo łóżko które mi tutaj oddano do dyspozycji, nie mogło iść w porównanie z wspaniałemi łóżkami francuzkiemi, różnica tu bowiem była zbyt wielka i... dokuczliwa. Na drewnianej pryczy rozpostarto skórę baranią, a na niej położono poduszkę, która prawdo-

podobnie zamiast pierza napełniona być musiała trocinami od żelaza, taka bowiem była twarda i ciężka. Na przykrycie grzesznego ciała oddano mi szorstką derkę wełnianą.

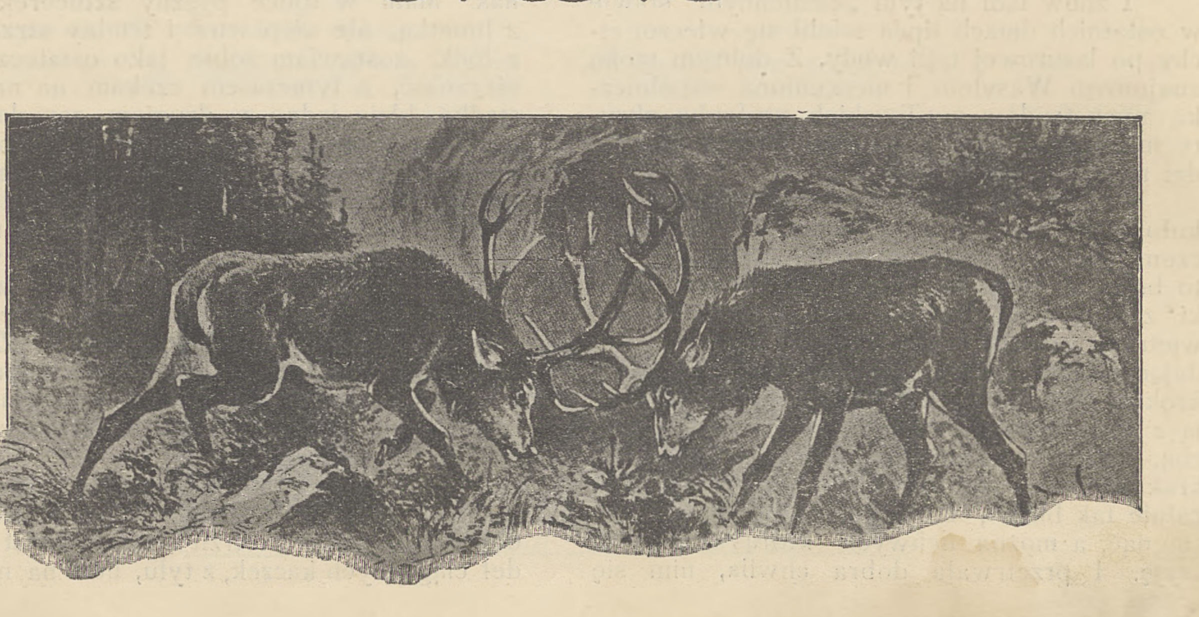
Po prawej stronie była sypialnia państwa Antoniostwa, po lewej zaś mieścił się pokój dziewiczy uroczej panny Bedett. Dzięki cienkości ścian akustyka tutaj była wprost świetna, mógłbym był też słuchać przez całą noc koncertu, jaki dawali w chrapaniu moi sąsiedzi, gdyby nie to, że tak byłem zmęczony, iż zasnąłem prędko i spałem wspaniale.

Nazajutrz rano wziąłem się do zapakowania mojego kufra drewnianego, gdyż postanowiliśmy wspiąć się na góry i zamieszkać w szałasie, zbudowanym bardzo wysoko. Podczas gdy Bedett z Hestem Bruno, który na płaskich sankach ciągnął za sobą moje pakunki, zwrócili się na prawo, ażeby nadzwyczaj stromą ścieżką dojść do celu podróży, Antoni i ja zwróciliśmy się na lewo i zniknęliśmy w krzewach. Nie uszedłszy daleko, zastrzeliłem jarząbka, co natchnęło mnie nadzieją, że uniknę przeznaczonej dla mnie dozy mięsa peklowanego i otrzymam na przyszły obiad wyborną pieczonkę. Po kilkogodzinnem i często bardzo utrudzającem pięciu się w górę po nadzwyczaj stromych zboczach, około godz. 12 i pół w południe dotarliśmy wreszcie na szczyt. O ile w dolnych częściach góry znajdowaliśmy wcale niezłe, choć nierówne i mało zwarte drzewostany świerkowe, takie, jakie właśnie być powinny przy odmładzaniu naturalnem, o tyle im wyżej posuwaliśmy się, tem zalesienie stawało się rzadsze, aż w końcu napotykaliśmy tylko same karłowate, przez burze połamane świerki i brzozy. Wiatr tutaj stale wiał bardzo silny i uniemożliwiał drzewom podniesienie koron w górę. Na samym szczycie gór była już tylko jedna wielka łysina i tylko w nielicznych zagłębieniach rzadkie trawy i zielska pokrywały lekko ziemię, poza tem zaś nic, jak tylko grunt kamienisty. Przekroczyliśmy szczyt górski i znów opuściliśmy się w sferę karłowatych świerków i brzóz. Na nasz widok dwukrotnie zerwały się liczne stada pardwy, do których miałem ochotę strzelić, tem więcej, że wytrzymywały doskonale i zaraz zapadały na nowo. Usłuchałem jednak Antoniego i dałem pokój strzałom, jak bowiem twierdził mój towarzysz, mogło by to spłoszyć łosie, które jego zdaniem powinnyby się tutaj znajdować.

Szliśmy jeszcze dobre pół godziny aż wreszcie stanęliśmy nad brzegiem bardzo stromego jaru. „Rapp“ zaczął teraz silnie wietrzyć i po cichu skomleć, a taki był podrażniony, że Antoni z trudem go tylko przytrzymywał. Nie ulegało wątpliwości, że łosie są w pobliżu, postanowiliśmy zatem puścić się wzdłuż owego jaru. Już się obróciłem i uczyniłem pierwszy krok, gdy nagle Antoni krzyknął: „Elg!“ I rzeczywiście po drugiej stronie jaru ukazał się wspaniały egzemplarz łosia. „Oxe“— szepnął Antoni, ja zaś również poznałem natychmiast, że mamy przed sobą „byka“ który bardzo niedawno oczyścił dopiero łopaty. Odskoczyłem w bok, ażeby się ukryć, oszacowałem odległość i... mój łoś padł z taką precyzją, jakiejby mógł mu pozazdrościć rączy jeleń. Na huk strzału ukazały się jeszcze dwie klempy, ale uciekły z trwogą.

Teraz Antoni puścił się naprzód, ja zaś popędziłem za nim, a jeżeli nie skręciliśmy sobie karku, zbiegając po stromej ścianie jaru, to sam nie wiem jak to się stać mogło! Nareszcie ucieszony Antoni zawołał wesoło, tykając mnie jak brata: „Chodź tutaj, der ligger Oxen“ (tu leży byk). Przyjrzałem się dobrze i przekonałem się, że ten łoś nie podniesie się już więcej na nogi. Niestety! po bliższem obejrzeniu przekonaliśmy się, że to był bardzo drobny okaz, ale pomimo to radość sprawił nam wielką.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z ukraińskich wód i stepów.

Na zegarze wieczności drgnęła wskazówka. Rok cały przeleciał na nim atomem sekundy i znów znalazłem się wśród istot mi bardzo drogich. wśród bezbrzeżnych ukraińskich stepów i wód, wśród komnat i drzew prastarych nowochwastkowskiego dworu, tam, gdzie każda ściana, każde drzewo, każda ścieżka, niemal każda kiść szuwaru na stawie mówi do mnie mową złotych wspomnień z lat dziecinnych i młodzieńczych...

Z lat młodzieńczych myśliwskie wspomnienia!... Czy jest tęcza na niebie, coby igrała takiem barw życiem, jak one igrać potrafią w duszy myśliwego?...

ptaki o niebezpiecznem sąsiedztwie swem dowiedziały i w straszliwym popłochu uleciały.

Godzina 8-ma. Przestałem śledzić ciągnące kaczki, których już popołudnia tego 21 ubiłem, a przygotowałem się na gęsi, gdyż ich codzienny powrót z pól na staw na tę porę z dziwną punktualnością wypada. Jakoż nie dają i dziś długo na siebie czekać. Słychać gęganie. Suka moja, obyta z tym głosem, patrzy naszczurzona w stronę skąd ciągną gęsi i za chwilę pierwsze ich stadko wysoko czarnym kluczem rysuje błękit. Ptaki zataczają duży krąg nad nami i sypią się, koziołkując z powietrza na wodę, o jakie sto kroków od



I znów tam na tym „kamiennym“ stawie w ostatnich dniach lipca ścielił się wieczór cichy po lazurowej tafli wody. Z dobrym moim znajomym Wasylem i nieocenioną wspólniczką mych trudów myśliwskich, gryfonką, ukryty misternie w kępie szuwaru czekałem w łodzi na zapad gęsi dzikich.

Robiło się coraz ciemniej, a szuwar w koło mnie coraz więcej ożywiał się tajemniczem życiem. Jakieś szmery, dziwne głosy, to bąka, to łyski lub kurki, to rozmowa kaczki z kaczętami, dawały się słyszeć, czasem wietrzyk zatrząsł lekko kiściami szuwaru, dodając jeszcze uroku tajemniczości. Na kilka kroków od łodzi wypłynęła podgorzałka z swoją z siedmiu sztuk kacząt składającą się pociechą. Wtem zaszumiało mi nad głową i na krok odemnie usiadły dwie siwe czaple, literalnie tak blisko, że tylko rękę zgrabnie wyciągnąć, a można uchwycić którąś z nich za szyję. I przetrwała dobra chwila, nim się

nas. Mam w łódce pyszny sztucerek Tella z lunetką, ale niepewny i trudny strzał kulą z łódki zostawiam sobie jako ostateczną konieczność, a tymczasem czekam na następne stadko. Idzie jedno za drugiem, zapadając nie na strzał śrutem, wreszcie leci ich olbrzymia ława, ze 150 sztuk z szalonym hałasem i sypie się również daleko na wodę, na której robi się czarno. Źleśmy tego wieczora miejsce wybrali. Zapad się skończył. Biorę w rękę sztucerek i posyłam kulkę najbliższej sztuce.— Strzał cichy nie robi wrażenia. Ale drugi rozciąga na wodzie jednego ptaka. Zrywają się! Burza skrzydeł i nie do opisania zamęt i lament gęgania. Jedno stadko przylatuje na strzał, spadają dwie sztuki. Reszta z płaczem przenosi się dalej...

Po uśpionej tafli olbrzymiego stawu płyniemy ku grobli. Róg łodzi trąca o liście wodnych lilji. W powietrzu słychać świst skrzydeł ciągnących kaczek, z tyłu, hen! na niezmie-

rzonych obszarach wód sadowią się jeszcze z gęgiem gęsi. Gwiazdy kąpią się w wodzie. Tęsknica szarpie duszę, któraby chciała wraz z niemi nurzać się w tajemniczej, cichej toni w wieczornej godzinie, lub kołysać się mewą za dnia po sinej spienionej fali ukraińskiego jeziora.

I dziś tam myśl moja mknie, nad nowochwastowskim dworem się pławi, przegląda się w sinej toni wód, mierzy wzrokiem nieprzejrzane stepów złotych obszary, pieści nim drogich osób postacie i szczegóły, i z nimi owija się w tęczową sieć wspomnień, marzeń i nadziei. Wszak rok znów szybko minie.

Na stawach nowochwastowskim i kamiennym ubiłem w lipcu b. r. 21 gęsi i 87 kaczek dzikich. Miły pewien gość mojej ciotki, któremu w roli gospodarza na łodzi towarzyszyłem, ubił w pierwszych dniach lipca 8 gęsi i 2 kaczki. Widziałem i w tym roku na stawie nowochwastowskim czaplę białą (Ardea egretta) oraz śliczną czaplę modronosą (Ardeola ralloides).

Trzy razy podjeżdżałem i podchodziłem króle stepów, dropie. Raz się do nich na bezskuteczny, niestety, strzał sztućcowy zbliżyć potrafiłem. Nie pomogło jeżdżenie drabiniastym, wyładowanym słomą wozem, nie pomogło udawanie pasterza i pędzenie owiec i krów po stepie. Czujne ptaki oszukać się nie dały. Dropia uważam za najtrudniejszą zdobycz myśliwską. Zbliżenie się do ptaka na strzał kulą, nawet przez lunetę, jest rzeczą prawie niemożliwą, gdyż w chwili zatrzymania się wozu, drop już ulatuje i nie daje czasu na przygotowanie się do strzału. Podejście najczujniejszego jelenia karpackiego jest igraszką wobec podejścia lub podjazdu dropia na otwartym, bez najmniejszej osłony, stepie.

Albert Mniszek.

(„Łowiec". — Lwów).

Łódko moja!...

Łódko moja! Kochanko! Gdzieś tam [zapomniana
Śpisz cicho u przystani! Pierś twa nie tnie [fali,
Swoich skrzydeł rozbłyskiem, słońcem [pozłacana
Nie jaśniejesz na toni!... Piorunem mej stali.

Nie rozjaśnię Ci czoła łódko ukochana!
Tylko myśl ma do Ciebie płynie z mrocznej [dali
Ponad stepy i jary płynie rozpłakana,
Nad Tobą mewą krąży i bardzo się żali,

Że nam dwojgu nie wolno bujać po wód [toni,
Wśród bałwanów chaosu sypać pierza grady
I po tajniach szuwarów błąkać się na [zwiady!

Łódko moja! Kochanko! Kiedyż znów [zapłonie
Pełń księżyca, co rzuci szlakiem srebrnym w wody,
A my po nim pomkniemy z stadem mew [w zawody?

Albert Mniszek.

„Łowiec".—Lwów.



Hodowla czarnych lisów w Kanadzie.

Znaczna część mieszkańców Kanady zajmuje się od lat wielu specjalną hodowlą czarnych lisów, traktując to jako poważne przedsiębiorstwo handlowe, mające wielką przyszłość przed sobą, skóry bowiem czarnych lisów, wyhodowanych dobrze, nie mają równych sobie i posiadają znaczną wartość. Coraz większe gromady ludzi w najrozmaitszych stanach Kanady poświęcają się temu zawodowi, wymagającemu posiadania silnych nerwów. Kolonje hodowlane istnieją w hrabstwach Guysboro, Nowa Szkocja, w Grand Valley, Dulton i Wyoming w prowincji Ontario, na wyspie St. Lorenz pomiędzy Nową Szkocją a Nową Fundlandją, gdzie ta gałęź handlu rozwinęła się najszerzej i zkąd pochodzące skóry, czy to dzięki wyjątkowo korzystnemu klimatowi, czy też dzięki glebie tamtejszej, uchodzą za najlepsze i najchętniej bywają na rynkach rozkupywane. Ta doskonałość skór lisich w Prince Edward Island posiada już sławę, co ma ten skutek, że coraz więcej osób poświęca się hodowli tych zwierząt.

Ceny za parę żywych lisów ciągle wzrastają, i podczas gdy przed kilku jeszcze laty można było kupić samca i samicę za 2—3000 dolarów, to obecnie cena ta wynosi 5—6,000 dolarów za parę, a w ostatnich czasach ładny okaz samca sprzedano nawet za 4,000 dolarów. Ceny te dlatego utrzymywane są tak wysoko, że lisy bywają nabywane wyłącznie dla celów hodowlanych, a przytem farmerzy nie chcą dopuścić do wzmorzenia się konkurencji. Pewnemu właścicielowi farmy lisiej dawano za nią 70,000 dolarów, on jednak nie zgodził się na to, z tej prostej racji, że dobrze prowadzona i licznie reprezentowana farma przynosić może do 100,000 dolarów rocznie. Wogóle obrót roczny na tej jednej tylko wyspie wynosił w r. z. przeszło pół miljona dolarów. Rzecz naturalna, że ceny za pojedyńcze skórki bywają, stosownie do jakości, bardzo rozmaite. Mniej wartościowa sztuka oceniona bywa na 100 dolarów, jest to jednak cena najniższa, która wzrasta do 2,500 dolarów, a nawet wyżej. Na rynku londyńskim sprzedano niedawno skórę z czarnego lisa z Prince Edward Island za 540 f. st. czyli około 5,400 rubli, a szczęśliwy nabywca odprzedał ją następnie na rynku wiedeńskim za 590 f. st. Przeciętna cena za skórę czarnego lisa kanadyjskiego na rynku rosyjskim wynosi 2,000 rubli.

Nie jest to wcale łatwo wynaleźć różnicę pomiędzy dobremi a gorszemi skórami, wymaga to bowiem doświadczenia i wprawy. Tak np. pewien farmer sprowadził z zachodu Kanady lisa i skrzyżował go z lisami wschodniemi, a nie wyćwiczony dostatecznie, nie umiał znaleźć różnicy pomiędzy skórą „wschodnią“ i „mieszaną“. Kiedy jednak przywiózł pięć skórek na rynek londyński, z których cztery były „mieszane“, a jedna zaś „wschodnia“, za tę wschodnią otrzymał więcej, aniżeli za wszystkie cztery mieszane razem. Wszystko zależy od koloru, gęstości włosa i różnych delikatnych odcieni, które tylko prawdziwy znawca potrafi odpowiednio ocenić.

A teraz udajmy się w odwiedziny na taką farmę lisią. Jedną z najlepiej urządzonych i najzasobniejszych jest farma p. F. Tuplina w New Annan w pobliżu Summerside. Drugą z rzędu pod względem wielkości farmę posiada członek parlamentu i minister E. Dalton, który przedsiębiorstwo to prowadzi najdawniej, bo już od lat 15-tu. Z początku utrzymywał próby hodowli lisów w tajemnicy, ponieważ jednak dochody z tego przedsiębiorstwa okazały się wprost bajeczne, przeto zaczęto badać, zkąd czerpie pieniądze, i wykryto, że na swoich gruntach posiada on zwierzęta złotodajne, a rezultat tego był taki, że znaleźli się natychmiast naśladowcy.

Lisy na kolonjach trzymane są o ile możności w jaknajgęstszych lasach, wszystko zaś tutaj urządzono tak, ażeby ich pobyt nie różnił się niczem od życia na swobodzie. *„Foxranch“* oparkania się gęstą i bardzo mocną siatką drucianą, najmniej 10 stóp wysoką, ta siatka zaś jest u góry tak wygięta do wewnątrz, że lis absolutnie nie może przez nią przeskoczyć. Siatka wpuszczona jest na 4—5 stóp głęboko w ziemię, lis zatem nie może się również pod nią podkopać. Pojedyńcze rodziny lisie mają znów swoje oddziały, odgrodzone od siebie mocnym drutem, w takich zaś oddziałach urządzono dla nich specjalne nory. Tego rodzaju urządzenie na jednę rodzinę lisią kosztuje od 75—100 dolarów. Samice wylęgują pomiędzy końcem marca a połową maja od 2—8 młodych. Ponieważ czarne lisy są niejako odmianą zwykłych lisów, przeto zdarza się od czasu do czasu, że wśród młodych znajdzie się niespodziewanie ruda sztuka. Pan Tuplin, nabywszy parę czarnych lisów, wyhodował w ciągu czterech lat 56 młodych sztuk, z których ani jeden lis nie zginął z powodu choroby. Raz tylko się zdarzyło, że jeden z lisów przekradł się do innego oddziału i tam został jako obcy przybłęda przez drugie lisy zamordowany.

Pan Tuplin wylicza, że wyżywienie jednego lisa kosztuje go rocznie 3,75 dolara, co równa się jednemu penny dziennie, czyli około 2 kopiejki. Pożywienie dawane lisom bywa różne, jedni karmią je rybami, inni wysuszonem mięsem, inni wreszcie gotowanem. Warunki hodowania i wyżywiania utrzymywane bywają w sekrecie i niechętnie zdradzane, to bowiem, w jakich warunkach wzrasta lis od najpierwszej młodości, wpływa na dobroć i jakość jego skóry, każdy też farmer

posiada własne pod tym względem doświadczenia. Wielu farmerów twierdzi, że dla hodowcy lisów potrzebna jest znajomość hodowli psów, a nawet owiec, dobrze zatem jest zapoznać się z tem poprzednio.

Jak łatwo sobie wyobrazić, lisy nie bywają zgładzane z tego świata za pomocą strzału, lecz bywają one duszone. W ostatnich czasach zaczęto dla zadania im śmierci używać chloroformu, w ten bowiem sposób zabite zwierzę najmniejszej nawet skazy nie ponosi na skórze.

Nie dawno utworzone zostało nowe towarzystwo akcyjne, mające na celu prowadzenie hodowli srebrnych lisów na Prince Edward Island. Kapitał zakładowy tego przedsiębiorstwa wynosi 350,000 dolarów, pojedyńcze zaś udziały 10,000 dol. Hodowla srebrnych lisów ma być prowadzona na wielką skalę w miejscowości Alberton i na początek przeznaczono na ten cel 40 par, z których każda posiadać będzie odzielną bardzo rozległą farmę.

Kto i jak zalesił 400-to włókowy obszar wzgórz piaszczystych pod Łomżą, zwanych „Czerwony-bór".

Do podniesienia tej kwestji skłania mnie artykuł p. t. „Suum cuique", zamieszczony w kwietniowym zeszycie „Leśnika Polskiego", w którym autor tegoż p. W. A. Dąbrowa stanął jakoby w obronie zasług b. nadleśnego Martina, przypisując jemu jedynie zalesienie całego Czerwonegoboru, lecz przytem pozwolił sobie zaprzeczyć mojej działalności i mojemu kierownictwu uprawami leśnemi na Czerwonymborze i zarzucić mi fałsz i samochwalstwo, czem dotknął niesłusznie mój honor i powagę mego wieku i stanowiska. Opóźnienie zaś tego wyjaśnienia, stanowiącego zarazem sprostowanie fałszów p. Dąbrowy, wywołane zostało tym faktem, że podałem je do „Leśnika Polskiego" w miesiącu maju, lecz Redakcja tego pisma, którego etyka pozwala na drukowanie oskarżeń i zjadliwych krytyk, ale nie znosi zaprzeczeń jej nieomylnych wyroków, nie zechciała umieścić tego ani w czerwcowym, ani pomimo mojej reklamacji, w lipcowym zeszycie.

Czerwonybór, jako część składowa rządowego leśnictwa Zambrów, dziś już zalesiona w całości, stanowiła do r. 1846 obszerną przestrzeń bezleśną piaszczysto-wzgórkowatą, która po wycięciu lasów w końcu 18-go wieku przez starostę Łomżyńskiego, oddawana była na prawach dzierżawnych okolicznej drobnej szlachcie w użytkowanie rolne.

W roku 1831 przestrzeń ta przeszła w zawiadywanie Komisji rządowej Skarbu, a w roku 1849 władza ta postanowiła wycofywać z użytkowania rolnego po paręset morgów corocznie i oddawać pod zalesienie sztuczne.

Dla wykonania tego postanowienia Komisja Skarbu delegowała do Czerwonegoboru Komisarza leśnego Reszyfa, jako stałego kierownika upraw leśnych mających się tam prowadzić, w następnych zaś latach, gdy roboty rozwinęły się obszerniej, dodała mu jako pomocnika adjunkta Hollaka, po śmierci zaś komisarza Reszyfa w r. 1858 uprawy prowadził w dalszym ciągu miejscowy nadleśny Wiśniewski.

Czerwonybór ma przestrzeni 13 tysięcy morgów, w tem było około 2000 morgów lotnych piasków, zasypujących ciągle pola sąsiednich trzech wsi szlacheckich: Szumowo, Głębocz i Kaczynek. Główne zadanie przeznaczone Reszyfowi było ustalenie lotnych piasków i następnie zalesienie ich sosną. Z zadania tego wywiązał się tenże znakomicie, gdyż ustalił w przeciągu dwunastu lat i zalesił około 1500 morgów, resztę wykończył po śmierci Reszyfa nadleśny Wiśniewski. Poza lotnemi piaskami Czerwonybór stanowiły piaszczysto-żwirkowate, zupełnie bezwodne i suche wzgórza, które podczas robót na lotnych piaskach były oddawane w dzierżawę pod zasiew zboża okolicznej szlachcie zagonowej działami trzydziestomorgowemi, a po ukończeniu tych robót były częściowo wycofywane z użytkowania rolnego na dwa lata naprzód i następnie zasiewane sosną. Zalesianie tych wzgórz polegało na siewie rzutem z ręki nasienia sosnowego z przymieszką 5% procentów modrzewiowego w bruzdy wyorywane sochami co pięć stóp w kierunku od wschodu ku zachodowi, a na stokach wzgórz w kierunku poprzecznym do spadku. Nasiona dostarczane były bezpłatnie przez wszystkie 66 leśnictw rządowych całego Królestwa, a wysiewane w ilości 12 funtów na mórg, później zredukowano tę ilość do 10 funtów, a gdy w roku 1869 Komisja Skarbu została zwinięta i utworzone wydziały leśne przy Izbach skarbowych, wtedy dostarczanie nasion z leśnictw ustało, fundusz na uprawy Czerwonoborskie podwyższono z 1000 rb. na 1500 rb. rocznie i polecono kupować nasiona w Darmstadzie. Wtedy ilość nasion zredukowano do 8 funtów na mórg, domieszkę modrzewiu skasowano, potem sprowadzono do siewu siewnik Drewitza,

a gdy nasienie podrożało, ograniczono ilość na mórg do 6 funtów. Rezultaty siewu były wogóle dobre, poprawki nie były potrzebne.

Próbowano też naukowych metod niemieckich, aby nie pozostać w tyle za postępem. Tak np. podczas mojej praktyki, którą rozpocząłem w leśnictwie Zambrów na Czerwonymborze w r. 1861, nadleśny Wiśniewski założył szkółkę sosnową według słynnej wówczas metody Birmansa. Na głębokiej regulówce posypanej warstwą calową popiołu darniowego zasiał sosnę gęsto ziarnko przy ziarnku i przykrył ją cienką warstewką tegoż popiołu. Nasienie wzeszło jak szczotka, siewki były na wygląd ładne, a korzenie więcej niż na pół łokcia długie, ale po przesadzeniu na wybrany równy kawałek halizny na Czerwonymborze w ciągu dwóch lat wszystkie sadzonki uschły.

W roku 1861 ogólny kierunek upraw czerwonoborskich powierzony został komisarzowi leśnemu Jastrzębowskiemu. Dowiedział się on, że niemieccy leśnicy w Bawarji zaprowadzili na szczerych suchych piaskach lasy dębowe w celu wyhodowania młodych 20-letnich zagajników, mających dawać wyborową korę garbarską. Ponieważ Czerwonybór był znakomitem polem do kulturnych doświadczeń, tenże komisarz, chcąc działać napewno, wszedł w porozumienie z naszym pierwszorzędnym garbarzem Karolem Szlenkerem, który podjął się pojechać własnym kosztem do Bawarji, obejrzeć tamtejsze kultury dębu i nauczyć się, jak je należy prowadzić. P. Szlenker to wskazał, przywiózł drukowaną broszurę uczonego niemca o hodowaniu dębiny na piaskach i zwiedziwszy Czerwonybór uznał go za miejscowość taką, na jakiej bawarscy leśnicy prowadzą kultury dębu. Sekret miał polegać na tem, żeby zorać wierzchnią warstwę gruntu na 8 cali grubo, a za pługiem puścić pogłębiacz i spulchnić nim ziemię na kilkanaście cali głęboko, przytem pod wierzchnią warstwę ziemi napakować kilkocalową warstwę ściołki leśnej jako nawozu. Komisja Skarbu wyznaczyła fundusz potrzebny na uprawę w ten sposób kilkunastu morgów i kupno pługów i pogłębiacza, robotę wykonano, p. Szlenker specjalnie przyjeżdżał z Warszawy na cały czas roboty, mieszcząc się w mojem mieszkaniu, gdyż wówczas byłem już od r. 1861 podleśnym w leśnictwie Zambrów i oba wspólnie dozorowaliśmy przy wykonaniu uprawy. Rezultat okazał się marny, gdyż dąbki wyrosły w ścielące się po ziemi krzaki.

Po nadleśnym Wiśniewskim, który przeniesiony był w r. 1866 do leśnictwa Ostrołęka, nastał Leppert, przy którym jeszcze dwa lata byłem podleśnym i bezpośrednim dozorcą i kierownikiem upraw Czerwonoborskich. Ten nadleśny rozpoczął studja nad sadzeniem sosny z uwagi na coraz wyższą cenę nasienia sosnowego, zakładał szkółki sosny i modrzewiu i corocznie zwiększał przestrzeń sadzenia, a zmniejszał ją dla siewu w miarę wyszkolenia się straży leśnej i robotników. Roboty postępowały ciągle i przeważnie z dobrym skutkiem. Leppert znalazł wśród wzgórz piaszczystych dolinę kilkomorgową, mającą glebę żwirkowato-wapienną z domieszką glinki. Na niej posadził trzyletni modrzew czysty. Po kilkunastu latach oglądałem ten zagaj modrzewiowy, był wspaniały, strzały proste, gładkie i wyniosłe, zwarcie pełne. Gdy po Leppercie, który wyszedł w roku 1874 do emerytury, nastał nadleśny Grymowski, już wyszkolenie straży leśnej i robotników w zakładaniu szkółek i sadzeniu było ukończone, robota szła sprawnie i według wystudjowanej i dającej dobre rezultaty metody.

Ja tymczasem po sześcioletnim dozorze robót przy uprawach na Czerwonymborze w charakterze podleśnego pod zwierzchnictwem Wiśniewskiego i Lepperta przeszedłem na służbę podleśnego, a potem nadleśnego do leśnictwa Ostrołęka, a w roku 1876 otrzymałem posadę rewizora leśnego przy Izbie Skarbowej Łomżyńskiej, w którym to roku jednocześnie z moim awansem Henryk Martin po dwu czy trzyletniej pracy biurowej w wydziale leśnym Izby Skarbowej przeznaczony został (jak o tem jest wzmianka w życiorysie jego w zeszycie z listopada 1910 r. „Leśnika Polskiego“) na nadleśnego leśnictwa Zambrów, a leśnictwo to oddano pod mój zwierzchni nadzór.

To, co p. Dąbrowa podał w artykule swoim „Suum cuique“, że Martin „wszechstronnie wystudjowawszy dział upraw, potrafił wyjednać u władz odpowiednie kredyty na zadrzewienie Czerwonegoboru“ dowodzi, niemówiąc o niezgodności z prawdą, zupełnej niewiedzy o kilkodziesięcioletniej działalności w tej sprawie poprzedników Martina, którzy trochę więcej i ważniejszych robót dokonali, a prócz tego zupełnej nieznajomości stosunków w sprawach rządowych. Wyjednywanie kredytów na roboty leśne nie należało do obowiązków nadleśnego, a w danym wypadku co do upraw Czerwonoborskich, Komisja Skarbu jeszcze w roku 1846 poleciła nadleśnemu leśnictwa Zambrów zamieszczać w etacie rocznych wydatków sumę 1000 rb. na uprawy, a w roku 1867 podwyższyla tę sumę do 1,500 rb. jako stały kredyt aż do ukończenia zalesienia Czerwonegoboru, wyjednywanie więc kredytu nie było wcale potrzebne. Było tylko obowiązkiem nadleśnego corocznie przed 1 stycznia przedstawiać Izbie Skarbowej wykaz robót wraz z planikiem miejscowości mającej się zalesić na sumę rozchodu nie wyższą nad 1,500 rb. Wykaz taki po poświadczeniu przezemnie, jako rewizora leśnego i jednocześnie faktycznego naczelnika wydziału leśnego Izby Skarbowej, był przedstawiony do ministerjum.

Co do wszechstronnego wystudjowania działu upraw przez Martina p. Dąbrowa za mocno przeholował w kulcie dla niego. Możnaby mu to wybaczyć, jako osobistemu przyjacielowi Martina, gdyby tego kultu nie opar

na uwłaczających mi a fałszywych rewelacjach. Martin nietylko studjów żadnych nie prowadził, ale nawet nie potrzebował tego czynić. Poprzednicy jego Reszyt, Hollak, Jastrzębowski, Wiśniewski i Leppert przeprowadzali studja przez całe lat 30, nie czekając na przyjście nowego apostoła leśnych kultów Martina, który przyszedł już na gotowe, wypróbowane metody upraw i nie potrzebował sobie głowy łamać, co i jak należy w dalszym ciągu robić. O tem zaś lepiej mi jest wiadomo, niż p. Dąbrowie, gdyż każdy coroczny projekt upraw był przezemnie poświadczany i przedstawiany wyższej władzy, a nadzór nad wykonaniem i spisywanie protokółu odbiorczego w roku następnym wraz z opinią o dobroci wykonania także do mnie należały przez lat 10 aż do czasu mojej tranzlokacji do Suwałk w roku 1887. To, co p. Dąbrowa mi przypisuje, że ja byłem tylko urzędnikiem administracyjno-policyjnym, i że nadzór na Czerwonymborem nawet nie do mnie należał, bo mój rewir stanowiły jakoby leśnictwa południowe (Brok, Udrzyn i Wyszków), nie jest zgodne z prawdą, bo w tych leśnictwach miał nadzór Komisarz leśny Czachowski, a ja od roku 1877 do 1880 miałem pod swoim nadzorem leśnictwa Ostrołęka, Nowogród, Rajgród i Zambrów, a od r. 1880 do 1887 po utworzeniu Zarządu leśnego okręgowego w Suwałkach wszystkie leśnictwa gubernii łomżyńskiej. Nie byłem też urzędnikiem tylko administracyjno-policyjnym, lecz administracyjno-technicznym, gdyż wszystkie techniczne projekty, plany urządzenia lasów i t. p. przechodziły przez mój wydział i o ile nie były przezemnie robione, były przezemnie rewidowane, poprawiane i dopiero potem przedstawiane z moją opinią do władzy wyższej. Może się p. Dąbrowa zapytać dziś jeszcze żyjących i będących na służbie rządowej nadleśnego leśnictwa Nowogród, Żbikowskiego i pomocnika nadleśnego leśnictwa Brok Święcickiego, którzy byli pod mojem zwierzchnictwem przez lat 10, to się przekona o swojej pomyłce w sądzeniu mnie pod pretekstem obrony zasług Martina.



Od roku 1846 do chwili przybycia do leśnictwa Zambrów Martina przez lat 31 zalesili jego poprzednicy około 7,000 morgów Czerwonegoboru (przecięciowo rocznie 226 morgów), na jego więc dolę przypadło zalesienie jakoby 6,000 morgów, ale z tej przestrzeni odeszło coś tam na poligon wojskowy i zalesiło się samosiewem z pojedynczych karłowatych sosen, stojących na miedzach między działami, ile—nie mogę określić, ale już za mego nadzoru do 1887 r. paręset morgów, mogło więc odejść razem około tysiąca morgów, czyli było do zalesienia 5,000 morgów, co Martin wykonał przez lat 33, więc przeciętnie rocznie 151 morgów. Zasługa więc zalesienia Czerwonegoboru i laury za nią, nie mogą być przyznane ani mnie, ani Martinowi, bo my obaj byliśmy tylko wykonawcami z obowiązku służbowego tych zamierzeń, które wystudjowali i ze sfery projektów przenieśli już w większej połowie do czynu nasi poprzednicy.

Zasługa moja była tylko jedna, wyjednanie postanowienia Komisji Skarbu wyjęcia z pod użytkowania rolnego odrazu całej niezalesionej do roku 1867 przestrzeni, aby nie wyczerpywać i nie wysuszać gleby. Następstwem tego było wzmocnienie się gleby przez ugorowanie i pojawienie się po całej przestrzeni bardzo ładnie wzrastających kęp młodzieży sosnowej z samosiewu karłowatych pojedynczych sosen na miedzach.

Co do zasług Martina prawdą jest, że kierunek i nadzór nad uprawami prowadził bardzo sumiennie, nieraz z narażeniem swego zdrowia, bo mogąc wyręczać się w dozorze nad robotnikami przy sadzeniu podleśnym, nie zdawał nigdy na niego tego dozoru, lecz sam przez cały czas sadzenia doglądał robót osobiście po całych dniach, wracając do domu o wiorst kilkanaście dopiero wieczorem, co rozumie się wpływało korzystnie na dobroć i oszczędność wykonania upraw. Lecz taka za-

sługa ma właściwą nazwę sumiennego i pedantycznego wykonania obowiązku służbowego, a nie jest żadnem bohaterstwem, ani pomysłowością, zasługującą na laury. Rzeczywistą zasługę należy przyznać tylko pierwszym pionierem w walce z trudnościami Reszyfowi, Hollakowi, Wiśniewskiemu i Leppertowi. Co do studjów nad uprawami, oni je przeprowadzili w całości. Gdy Martin w roku 1878 spróbował przestudjować w praktyce wyniesioną z instytutu leśnego teoretyczną zasadę, że sadzonki sosnowe powinny być wyhodowane w szkółce na takiej samej glebie, na jaką mają być przesadzone, i założył właśnie taką szkółkę, odrazu doznał zawodu.

Szkółka była marna, większą połowę siewek zmuszony był wyrzucić, a reszta przesadzona nie rokowała dobrego wzrostu. Do błędu się sam przyznał i więcej go nie powtórzył.

Z zacytowanych przezemnie dat i faktów okazuje się, że po trzyletniej biurowej praktyce Martin został nadleśnym w tym samym 1876 roku, w którym ja zostałem rewizorem i jego zwierzchnikiem i przez lat 10 ten zwierzchni nadzór pełniłem, a więc rewelacja p. Dąbrowy, jakoby Martin już większą część pustek Czerwonoborskich uprawił, nim ja na rewizora byłem przeznaczony i że władza jakoby tylko jego poglądy przyjmowała, a moich nie uznawała, jest niezgrabnem i tendencyjnem przekręceniem faktów, czyli wyrażając się dobitniej, wierutnym fałszem.

Ponieważ p. Dąbrowa podał, że zna dobrze całą sprawę upraw Czerwonoborskich, gdyż był przyjacielem Martina i posiada wiele jego listów, byłoby pożądanem ogłoszenie ważniejszych z nich. A jeśli w tych listach, jak mówi p. D. są poruszane szczegóły z leśnictwa i obrobione źródłowo, to warto je drukować dla nauki, przynajmniej te wyjątki, które traktują o kwestjach leśnych.

Byłoby to spuścizną po zasłużonym leśniku, której p. D. nie powinien chować pod korcem, bo może Martin po zwolnieniu się z mego zwierzchnictwa w r. 1887 przeprowadzał jakie dodatkowe studja i wynalazł lepsze metody uprawy lasu, a zwierzał się z niemi w listach do swojego przyjaciela. Że Martin wyrobił sobie specjalny autorytet w sprawach upraw leśnych, tak wysławiony przez p. D. a przyznawany jakoby przez wyższe władze leśne, to jest zupełnie naturalne, jeśli się zważy, że następni po mnie zwierzchni urzędnicy przysłani byli z tych gubernii, w których żadnych kultur nie prowadzono, ale że ten autorytet za mojego zwierzchnictwa był dopiero w epoce rozwoju i ja go zacząłem mu wyrabiać swojemi sprawozdaniami z rewizji, to także nie ulega wątpliwości. Nie był jednak ten autorytet ani trwały, ani tak niezachwiany, jak go p. D. przedstawia, jak tego dowodzi pochlebny życiorys zmarłego w 1910 r. Martina, zamieszczony w zeszycie listopadowym tegoż roku „Leśnika Polskiego“, w którym jest taka dosłowna wzmianka: „Ukochał on te swoje zagajniki, jak własne dziecko, to też gdy w r. 1898 wyłączono Czerwonybór z leśnictwa Zambrów w celu utworzenia z niego rewizorskiego leśnictwa, zarząd którego powierzono komu innemu, zmarły odczuł to boleśnie“.

Notatka ta objaśnia, że władza jego zlekceważyła dość wcześnie, bo na dwanaście lat przed śmiercią, jego wiedzę i pracę, nie pozwoliwszy mu dokończyć prowadzonego przezeń dzieła.

W. Olszowski.

RÓŻNE.

Wyższa szkoła lasowa we Lwowie. Szkoła kształci na samoistnych gospodarzy leśnych teoretycznie i praktycznie. Nauka trwa trzy lata. Kurs rozpoczyna się 1 października, a kończy 31 lipca. Bardzo bogate zbiory, ogród botaniczny własny, szkółki doświadczalne, las szkolny w Winnikach, ciągłe wycieczki naukowe i ćwiczenia zapoznają uczniów gruntownie także z praktyczną stroną wszystkich czynności zawodowych.

Wpisowe wynosi 5 koron, opłata szkolna półrocznie 20 koron. Średnio kosztuje utrzymanie ucznia 80 koron miesięcznie.

Warunki przyjęcia:

a) ukończony 17 rok życia;
b) ukończona z dobrym postępem VI klasa gimnazjalna lub realna, albo też inny zakład naukowy, uznany za równorzędny;
c) jednoroczna praktyka leśna i ustne z niej sprawozdanie;
d) świadectwo moralności za czas od opuszczenia ostatniego zakładu naukowego, do którego kandydat uczęszczał;
e) małoletni załączają nadto do podania pisemne pozwolenie rodziców lub opiekunów na wstąpienie do zakładu.

Kandydaci, którzy złożyli egzamin dojrzałości w gimnazjum lub szkole realnej, mogą być przyjęci do szkoły lasowej bez praktyki przedszkolnej.

Kandydatom tym przysługuje również prawo wstąpienia od razu na rok drugi, jeżeli w terminie egzaminów wstępnych złożą egzamin z chemii (obowiązuje tylko maturzystów ze szkół gimnazjalnych), geologii, botaniki, zoologii i wstępu do nauki leśnictwa w zakresie, wykładanym w szkole na roku pierwszym.

Podania o przyjęcie do szkoły należy wnosić do Dyrekcji najpóźniej do 15 września.

Egzamina wstępne odbywają się przed rozpoczęciem półrocza zimowego, w terminie ogłoszonym przez Dyrekcję.

Przedmiotem egzaminu wstępnego są:

1. Matematyka;
2. Geografia;
3. Język polski;

Wszelkich bliższych wyjaśnień udziela Dyrekcja szkoły: Lwów, ulica św. Marka 1.

Wypadek z bronią. W lesie kruszyńskim, należącym do Stefana ks. Lubomirskiego (w gub. piotrkowskiej), leśnik Matuszewski (lat 38), prowadził pogawędkę ze znajomym, usiadłszy na płocie, przyczem zdjął strzelbę z ramienia, postawił ją kolbą na ziemi, a na lufach się oparł, podłożywszy ręce pod brodę. Podczas rozmowy poruszył niechcący cholewą kurek. Padł strzał i położył Matuszewskiego trupem na miejscu. Osierocił on żonę i sześcioro drobnych dzieci.

Mądre kaczki. Jeden z moich znajomych, obywatel ziemski, p. S., opowiedział mi następujący fakt: W ogrodzie, dotykającym do łąk, dzikie kaczki zapoznały się ze swojskiemi. Razem przychodziły do karmy, którą im rzucała kucharka, razem pływały po stawie i rzece, która przecinała ogród. Powoli kaczki dzikie skrzyżowały się ze swojskiemi i na stawie powstała nowa generacja kacza, również łaskawa, jak poprzednia, lecz wspaniale władająca skrzydłami.

Młode pokolenie dzielnych kacząt rosło na stawie w spokoju, aż... kucharka, jak to zwyczajnie kucharka, połapała kaczki, powiązała skrzydła i o świcie powiozła na jarmark do Łodzi, by też i kaczki, znające dotąd tylko staw w Kiełczówce i jego blizkie okolice, mogły przypatrzeć się wspaniałej Łodzi, a za to w nagrodę powędrować do żołądków „lodzermanów“.

Na targu kucharce dobrze zapłacono za drób i z pełną kieszenią wróciła do domu.

Nazajutrz rano wychodzi do ogrodu, aż tu sprzedane kaczki najspokojniej pływają po stawie...

Było zaś tak: kupiono kaczki w Łodzi, rozwiązano im skrzydła, pomieściwszy w komórce. Ktoś, *per accidens* dobroczynny, otworzył drzwiczki, kaczki wyszły na brudne podwórko, a że im się to widocznie niezbyt podobało, więc zamachały skrzydłami i pożegnały się z Łodzią...

Pan S. już drugi raz nie pozwolił kucharce wywieść kaczek do Łodzi... a podobno chciała. *S. Nabój.*

Zafantowany niedźwiedź. Pewien przedsiębiorca przywiózł w tych dniach koleją Wiedeńską z zagranicy niedźwiedzia tresowanego, posiadającego znajomość różnych sztuk i figlów. Po przybyciu niedźwiedzia do Warszawy okazało się, iż przedsiębiorca nie ma go za co wykupić, wobec czego „misia“ zafantowano, a ciężar opieki nad uczonem zwierzęciem spadł na barki personelu kolejowego. Chcąc pozbyć się tego kłopotu, ogłoszono licytację, nikt jednak nie zgłosił się na nią. Wobec tego wyznaczono ponowną licytację.

Żubry w literaturze. W roku zeszłym gwoli uczczeniu trzydziestoletniej pracy pisarskiej Gomulickiego komitet jubileuszowy zebrał w ozdobny tom dwadzieścia kilka jego najprzedniejszych nowel i szkiców. Wśród nich znajduje się najznamienniejsze, najbardziej może jubilatowi swoiste odczucie: „Żubry“. W tytule niema przenośni. Na dwudziestu kilku stronach mowa tu o tych prawdziwych mohikanach puszczy białowiejskiej, o wspaniałych zwierzętach. Bezludzie puszczy i majestat pamiątki szumiącej o stuleciach minionych — czy może być bardziej wymarzone tło dla radości wewnętrznej Gomulickiego: przeszłość, dumne piękno i bezludzie! Postacią zaś działającą nie człowiek, lecz stworzenie pólrealne, pół-legendarne: żubr, piękne zwierzę, fatalizmem biologicznym wydane, zda się, na wymarcie — potężne fizycznie, jak wszystkie umiłowane wizje poety, w moczarach i ostępach odosobnione, jak wszyscy istotni Gomulickiego bohaterowie, przez wyjątkowość zaś swą żubrzą i przez los ów biologiczny—jakby romantyczne! „Trzy stare od stada odbite samce, trzy olbrzymy poważne, ze łbami jakby od myśli głębokich ciężkimi, stanęły na chwilę nieruchomo. Zbyt krótka była to chwila, aby przyjrzeć się im dokładnie. Zdążyłem tylko pochwycić dwa rysy ich charakteru: powagę i melancholię“. Studjum Gomulickiego nie dodaje do zwierzęcia żadnej alegorji epickiej, jak to czynią Dygasiński lub Kipling. Pociąg naukowy autora „Starej Warszawy“ zatrzymuje badawczość na stopniu dociekań naturalistycznych. Z zadowoleniem wewnętrznem kreśli obserwacje zoologiczne i dopiero—rzekłbyś — pomimo woli, z obserwacji tych wynurza się decydujący przymus poznawczy poety: spojrzenie na objekt pod kątem artystycznej plastyki. Gdy już wypowiedziały się wszystkie inne motywy zachwytu, staje przed badaczem ostateczne spostrzeżenie, najważniejszy argument: ten zwierz jest sam w sobie pomnikiem gatunku zoologicznego. I tu następuje prawdziwie artystyczne studjum zwierzęcia z punktu widzenia rzeźbiarza. Autor nie poprzestaje na wrażeniu, lecz podaje je ścisłej analizie, zanim dojdzie do końcowej konkluzji, tak obrazowej, że wydaje się, iż z tego opisu literackiego możnaby już, jak z modelu rzeźbić.



Bajeczka o jeziorze w lesie.

PRZEZ

Ernesta Dombrowskiego.

Autor tej z polotem poetycznym skreślonej bajki należy do najznakomitszych sił literackich współczesnych, talent zaś jego rozwinął się i zabłysnął w kilku kierunkach równocześnie, największe jednak laury osiągnął Ernest Dombrowski jako twórca opowiadań z dziedziny myśliwstwa.

Pod tym względem należy on do pisarzy o sławie wszechświatowej. Dombrowski zbadał niezliczoną ilość grot, a owocem jego gorliwych studjów było odkrycie dwu nieznanych gatunków z rzędu chrząszczy jaskiniowych, które dziś są znane jako „*Anthroherpon Dombrowski*“ i *Anophthalmus maglajensis*“.

Ciężka choroba, której się nabawił podczas podróży swoich naukowych, sprawiła, że autor ten przerzucił się odtąd wyłącznie na pole twórczości literackiej i zasłynął jako dramaturg, twórca prześlicznych bajek, opisów przyrody i t. p. Za utwory sceniczne dwukrotnie zdobywał pierwsze nagrody.

Ernest Dombrowski pochodzi z rodziny polskiej, a chociaż będąc wychowanym w Czechach, pisuje wyłącznie po niemiecku, nie przestał utrzymywać czucia z krajem rodzinnym.

Nadesłaną nam „Bajeczkę“ drukujemy dla zapoznania czytelników z twórczością pisarza, któremu gruźlica, postępująca szybko i niwecząca organizm, wytrąciła pióro z ręki, wskutek czego, jak to zwykle bywa u literatów, do drzwi nieszczęśliwej rodziny kołace bieda, a nawet nędza. Jak się dowiadujemy w kołach leśników w Austrji zbierane są ofiary dla ulżenia doli nieszczęśliwego pisarza, może więc również rozproszeni po naszym kraju koledzy Dombrowskiego pospieszą z datkami na ten cel.

Redakcja.

Jak szyba lustrzana leżało w głębi lasu małe jeziorko, spowite naokoł sosnami i wonnym wrzosem. Brzeg okolony był wieńcem traw barwnych, a opuszczające się gałęzie drzewek i krzewów muskały srebrzystemi listkami wodę jeziorka. Działo się to około Wielkiej nocy. Pierwsze pszczoły przeciągały brzęcząc nad porębami, gdzieniegdzie pięły się ku słońcu nenufary o cytrynowym blasku, nad brzegiem krążyły w różne strony bąki i komary, a skowronki wzbijały się ku obłokom przedziwnie błękitnym.

Wczesnym rankiem przechodził tędy młodzieniec i usiadł nad brzegiem jeziorka na pniu ściętym. Wzrok jego rozkoszował się widokiem jeziora i łąki, napawał się przyglądaniem drżącym promieniom słońca, cieszyły go fijołki, które odkrył na skraju lasu, a przedewszystkiem cieszyła go — młodość. Jak w lustrze przejrzał się w tafli jeziora, która odbijała jego oblicze takie świeże, takie gładkie, takie młodociane. Młodzieniec gniewał się prawie, że życie dotąd nie zapisało jeszcze żadnego śladu na jego twarzy. Więc wziął w rękę mały kamyczek i rzucił go w toń. Poruszyła się woda, wytwarzając małe krążki, a oblicze młodzieńca odbiło się natychmiast inaczej, drżące i skrzywione. Pochwycił drugi kamień, dużych już rozmiarów i znów go wrzucił do wody, a wtedy oblicze jego zniknęło zupełnie, na tafli wód ukazał się szlam brudny, który jednak zwolna opadał i jezioro odzyskało dawną moc zwierciadlaną. Młodzieniec zaśmiał się wesoło i poszedł dalej, wesołą nucąc piosenkę.

Po długich latach znalazł się dawny młodzieniec w tem samem miejscu, a była to jesień słoneczna. Zamierające liście rdzawe zamiatał wiatr na wszystkie strony, a w opalowem powietrzu trzepotała się przędza babiego lata, podobna do pierwszych siwych włosów na głowie człowieka. Żaden ptak nie zaśpiewał w pobliżu, i tylko wysoko ponad jeziorem k r ą ż y ł a para kruków, których skrzydła robiły wrażenie postrzępionych wstęg od wieńca na mogile. Napróżno szukał mężczyzna odbicia swojej twarzy w zwierciadle jeziora, wiatr pędził małe bałwany i poruszał ciągle wodę. Obszedł tedy jezioro naokoło, aż nareszcie znalazł sobie zupełnie cichą zatokę, gdzie wiatr napędził ogromną ilość opadniętych, martwych liści. Rozgarnął kijem lekko te liście i dostrzegł odbicie swojej twarzy w obramowaniu zwiędłego kwiecia. Życie wypisało już wiele znaków na tej twarzy i nic już nie zdoła zatrzeć tych śladów pisma runicznego. Mężczyzna czytał, odczytywał długo, chciał się przekonać co tam napisano, a gdy zobaczył zmieszane razem kłamstwo i prawdę, wtedy mgłą zaszło jego oko. Nie śmiał się tym razem i nie śpiewał piosenki, gdy wolnym krokiem skierował się ku domowi.



I raz jeszcze przyszedł on na to samo miejsce, znów po wielu długich latach. Zima wkroczyła na świat ze swoim majestatem śmierci, korony sosen uginały się pod ciężarem śniegu, jezioro zaś leżało u jego stóp gładkie, zmiotła bowiem wszystko z niego groźna zawieja. Ślizki lód o zabarwieniu niebieskawym trzymał wody w karbach.

Stary pan usiadł na zbutwiałym pniu i spojrzał na dół. Zobaczył tu odbicie swojej twarzy bardzo wyraźne, ale ta twarz na lodzie wychodziła zdrętwiale, bez życia. Co teraz na niej było wypisane— ach! tego nawet nie zdołał odczytać w całości. Wielu znaków nie rozumiał zupełnie, wiele wypadło mu z pamięci, a niejeden łzę napędzał do oka. Zdrętwiałe było to oblicze i żaden kamień rzucony na lód nie zdołał zmienić tego obrazu. Woda była ścięta, żaden wiatr najsilniejszy nie zdołałby jej poruszyć, nic nie mogło tutaj wlać nowego życia w obumarłe jezioro. Dolę jeziora odczytał na odbiciu swojej twarzy. Westchnął...

Zwolna zaczynały na jezioro spadać płatki śniegu. Te płatki coraz więcej łączyły się z sobą i pokrywały taflę lodu tak długo, aż wreszcie zniknęło odbicie twarzy starca.

Ze spuszczoną głową oddalał się z tego miejsca starzec niepotrzebny już na świecie i zapomniany.

Sadzenie drzewek owocowych.

Z uwagi na wzrastające z każdym dniem zainteresowanie się hodowlą i pielęgnacją drzew owocowych, dzielę się chętnie z Czytelnikami „Gazety Leśnej i Myśliwskiej“ zebranemi z praktyki wskazówkami, w tem przekonaniu, że niejednemu mogą przyczynić się do wyświetlenia i usunięcia wątpliwości przy manipulacji tak ważnej dla pomyślnego rozwoju drzewa, jaką jest sadzenie.

Nim przystąpię do określenia właściwej czynności przy sadzeniu drzew owocowych, pozwolę sobie nadprogramowo wspomnieć o wyborze pory sadzenia, która też nie jest bez wpływu. W danym wypadku miarodajną wskazówką jest grunt, a także i pogoda roczna; ponieważ ziemie lekkie, piaszczyste, w zimie mniej są narażone na skutki silnych mrozów, a na wiosnę znowu bardzo prędko wilgoć tracą, której to wilgoci świeżo posadzone drzewka wymagają, w glebach zatem piaszczystych sadzenie jesienne ma większą rację bytu. Te same powody w odwrotnem pojęciu stosują się do gruntów gliniastych, a więc i do sadzenia wiosennego.

Pogoda, o której wspomniałem, odgrywa podrzędniejszą rolę i to w pewne lata, kiedy trwa uporczywie posucha, a ziemia do tego stopnia wysycha, że kopanie większej ilości

dołów jest wprost w wykonaniu niemożliwe, a także grunt nie jest w stanie dostarczyć zasadzonemu drzewku odpowiedniej wilgoci.

Oprócz nadmienionych powodów. które przemawiają za tą lub ową porą sadzenia, jest wiele innych, które przy sadzeniu większej ilości drzew uwzględnić trzeba. Jeżeli grunt, na którym ma być założony sad czyli ogród owocowy, jest regulowany w jesieni, to trzeba wstrzymać się z sadzeniem do wiosny, by ziemia miała czas należycie osiąść, a przytem pod wpływem mrozów doskonale skruszała. Zakładanie większych sadów najlepiej jest uskuteczniać w jesieni, wtenczas bowiem tak rolnik, jak i ogrodnik bezsprzecznie ma więcej czasu, niż podczas krótkiej, a o wątpliwej pogodzie porze wiosennej. Jesienne sadzenie ma jeszcze i tę zaletę, że drzewko z chwilą obudzenia się przyrody na wiosnę, przystępuje do akcji nie jako nowicjusz, walczący dopiero z trudnościami oswojenia się i zastosowania do bezpośredniego otoczenia, ale posiada już niekiedy małe korzonki, tak, że cała pracownia oczekuje tylko pierwszego hasła wiosny, by zacząć swą robotę.

Przed sadzeniem oznacza się miejsca przyszłych dołów kołkami, oblicza ilość potrzebnych drzewek, oraz po zamówieniu tychże w jakimś krajowym zakładzie sadowniczym, przystępuje się bezzwłocznie do wybierania dołów. Forma dołów jest dwojaka: okrągła o powierzchni koła, albo czworoboczna z powierzchnią kwadratową. Te ostatnie znalazły wielkie zastosowanie zagranicą, ze względu na praktyczność i łatwość w wybieraniu ziemi, oraz większą przestrzeń powierzchni, chociaż przy tejże samej co i u koła średnicy. Szerokość i głębokość dołów stosujemy do jakości gleby. Jeżeli mamy do czynienia z ziemią ciężką, o podglebiu słabo przepuszczalnem, wtenczas kopie się doły na 2 m. średnicy i 1 m. głębokości, w innym wypadku wystarczy szerokość 1·50, głębokość 80 cm. Przy wybieraniu ziemi znajdujące się warstwy uprawnej i nieuprawnej ziemi składamy osobno. Kołek, który oznaczał środek jamy, musi być zachowany w temże samem miejscu do końca. Jak już wyżej wspomniałem, przystąpić należy do kopania dołów na dłuższy czas przed sadzeniem, by ziemia mogła należycie przewietrzeć, a i dostęp tlenu do wykopanego dołu nie jest bez skutku. Drzewka ze szkółki przyjdą w takim stanie jak zostały wykopane, trzeba więc przed samem sadzeniem wszystkie przejrzeć i gdzie potrzeba użyć pomocy noża. *(Dok. nast.).*

SPROSTOWANIE.

W ostatnim numerze naszej „Gazety“ zakradły się w artykulu „Niezwykli goście w Pilawinie“ dwa błędy drukarskie, które prostujemy:

Na str. 394, lewa szpalta, wiersz 14-ty od góry, zamiast *także*, powinno być **takie**. I w tej samej szpalcie, 35-ty wiersz od góry zamiast *wywodzonego*, powinno być **wygrodzonego**.

Treść:

Warunki przedpłaty z dostawą. W Warszawie i na prowincji: rocznie rb. 8.— półrocznie rb 4. — kwartalnie rb. 2. — za granicą: rocznie koron 24. — lub marek 20, — półrocznie kor. 12 lub mk. 10, — kwartalnie kor. 6 — lub marek 5.; — pojedyńcze numera 40 kop.

Warunki ogłoszeń: Przed tekstem: cała strona rb. 60, pół str. 32, 1/4 str. rb. 18, 1/8 str. 10 rb., 1/16 str. rb. 5 k. 50. Po tekście: cała stronica rb. 50, 1/2 stron. 28, 1/4 str. rb. 16, 1/8 str. rb. 8.50 i 1/16 rb. 4.50.

Przedpłatę przyjmuje administracja, jak również każda księgarnia w Warszawie, na prowincji i za granicą.

Komplety za rok 1912 w ozdobnej oprawie otrzymać można po cenie Rs. 5 kop. 50 wraz z przesyłką w Administracyi. — Za zaliczeniem kop. 20 drożej.

Za listy nadesłane do Redakcji pismo nie bierze żadnej odpowiedzialności.

Ze zmianą adresu prosimy nadesłać po 20 kop. w znaczkach pocztowych.

Wydawca: **Gustaw Buseck-Busecki.** Redakcja i Administracja: **Nowy-Zjazd Nr. 7.** Za redaktora: **Zygmunt Dekler.**

Druk A. Zięckowski i S-ka Warszawa, Widok 3. Telef. 135-10.